

Jadwiga H. Tomczyńska

z Tarnopola

PRZEZ

SYBIR

do Włodowic

WSPOMNIENIA Z ZESŁANIA 1940-46 r.

II/1673/1k

Spis treści:

1. Tarnopol - 17 września 1939 rok.	- 1
2. Na Sybir - Dżoż-kuduk	- 10
3. Rybałka	- 20
4. Pawłodar	- 27
5. Żelezianka	- 32
6. Ziemiłanka	- 36
7. Komitet Pomocy dla Polaków	- 54
8. Znowu Pawłodar	- 57
9. Koniec wojny - nadzieja	- 62
10. Do Polski - Rypin Lubuski	- 64
11. Do Wadowic - dom rodzinny	- 66

-----

Słowo wstępne.

Autorka wspomnień urodziła się 12 października 1914 roku w Zatorze k.Wadowic. Jej Ojciec Witold Czupryński, po kądzieli potomek gen.J.Bema, zdobył wysokie kwalifikacje i był znanym i cenionym autorytetem światowym w ichtiologii. Był m.in. wieloletnim zarządcą znanych, dużych hodowli rybnych w dobrach zatorskich hr.M.Potockiego.

Po ukończeniu gimnazjum humanistycznego im.M.Mościckiej w Wadowicach wychodzi za mąż za Jana Kazimierza Tomczyńskiego oficera Wojska Polskiego. Razem z mężem przenoszonym służbowo do różnych garnizonów, i z rodzonymi co roku dziećmi Marią, Markiem i Tytuśsem, po Krakowie znalazła się w Tarnopolu.

Tu w Tarnopolu, jesienią 1939 roku w dniu wkroczenia wojsk sowieckich do Polski rozpoczyna się okres jej życia na Sybirze, który opisuje w swoich wspomnieniach.

NKWD zabiera męża i osadza go w Starobielsku. Już go nigdy nie zobaczy. Ją z trójką dzieci w wieku 3 do 5 lat i bratem Tadeuszem Czupryńskim najeżdża wywozi na Sybir. Tadeusz Czupryński ( rocznik 1920 ) absolwent gimnazjum im.M.Wadowity w Wadowicach, kolega z klasy Jana Pawła II, po zgłoszeniu się do Armii gen,Wł.Andersa przeszedł afrykański szlak bojowy i poległ śmiercią bohatera we Włoszech pod Anconą ( spoczywa na cmentarzu wojskowym w Loretto).

Wspomnienia są autentyczną relacją z tułaczki po Syberii 25 letniej kobiety z trójką małych dzieci, wyrwanej z domu wtedy gdy rodziła zaczynała się kształtować, i gdy jako młoda matka mogła odczuwać z tego powodu satysfakcję. Wszystko zostało przerwane.

Autorka szczęśliwie wróciła z dziećmi do Polski. Wychowała samotnie dzieci. Wykształciła. Nie przyjmuje do wiadomości do dziś faktu, że jest wdową. Nie pozwala się tak traktować mimo, że odznaczono ją, jako jedną z pierwszych, medalem dla wdów po ofiarach zbrodni katyńskiej.

Marek J.Tomczynski

Z TARNOPOLA PRZEZ SYBIR DO WADOWIC

W S P O M N I E N I A

z zesłania 1940-46 r.

1. Tarnopol - 17 września 1939 rok

Dnia 17 września 1939 roku wojska radzieckie wkroczyły do Tarnopola. Mieszkałam tam wraz z mężem i dziećmi. Mąż mój Jan Tomczyński był zawodowym wojskowym i jako oficer w stopniu kapitana pracował w Rejonowej Komendzie Uzupełnień. Nie był powołany na początku działań wojennych na front, ponieważ miał powierzone archiwum wojskowe, które w wypadku wkroczenia nieprzyjaciela miał obowiązek zniszczyć. Pozostała jeszcze w Tarnopolu grupa oficerów starszych wiekiem i kompania wojska (może batalion) dla obrony miasta. Na powitanie wkraczających wojsk radzieckich - przekonani o ich przyjacielskich zamiarach - (ZSRR nie wypowiedział nam wojny) wyruszyła delegacja obywateli narodowości ukraińskiej i żydowskiej z kwiatami. Żołnierze radzieccy wyciągali połączone w uścisku ręce z pozdrowieniem, wołając, że pójdą ręka w rękę z nami do walki z Niemcami. Euforia trwała do wieczora, kiedy to żołnierze rozbiegli się po mieście nieustannie strzelając z ręcznej broni palnej pacyfikując ludność. Na ulicach pojawili się Ukraińcy i Żydzi z opaskami na ramieniu, co miało oznaczać przynależność do swojej milicji, wyszukującej w mieście mieszkania przede wszystkim rodzin policjantów, wojskowych, oficerów i podoficerów. Mąż mój należał do stowarzyszenia charytatywnego sw. Wincentego a Raolo (zupełny wyjątek wśród oficerów) i opiekował się biedotą Tarnopola na jego peryferiach. Z tej przyczyny rano 18 wrześ-

nia parę osób, wdzięcznych za okazywaną pomoc przyszło do nas proponując mu ukrycie wśród nich. Mąż podziękował serdecznie za życzliwość ale odmówił nie chcąc opuszczać dzieci i żony, a ponadto z czasów niewoli rosyjskiej, w której był wzięty w czasie I wojny światowej wspominał Rosjan raczej życzliwie i nie wierzył by mogli nam wyrządzić krzywdę. Sam bardzo dobry był więc ufny. A już 18 września w godzinach południowych na podwórzu domu, w którym na osiedlu wojskowym mieszkaliśmy, żołnierze radzieccy zabili polskiego żołnierza, trzymającego straż przy samochodzie z żywnością na zaopatrzenie wojska, mimo iż wezwany do poddania się, podniósł ręce. Scenę tę widziałam przez okno naszego mieszkania, ponieważ mieszkaliśmy na parterze. Tegoż dnia na podwórzu sąsiedniego domu rozstrzelano czterech oficerów, którzy odmówili oddania broni (nie byliśmy przecież w stanie wojny z ZSRR). Poniżej naszego ogrodu została rozstrzelana cała kompania żołnierzy, ponieważ nie chcieli złożyć broni. Dnia 19 września 1939 roku o świcie, gdy po nocnym nalocie znajdowaliśmy się jeszcze w piwnicy, paru żołnierzy radzieckich pod dowództwem starszyny (chyba to kapral) weszło do piwnicy i wyprowadziło męża nie pozwalając nawet pożegnać się z rodziną. Minęły ciężkie chwile, kiedy nasłuchiwalismy czy nie rozlegną się strzały skracające mu życie. Na szczęście okazało się, że zaprowadzili go do mieszkania i ponieważ był w pidżamie, kazali mu ubrać mundur i odprowadzili do więzienia. Wtedy też zagarnęli i resztę przebywających w mieście wojskowych, a następnego zaraz dnia dowództwo radzieckie zatrudniło oficerów pod strażą do zmiatania ulic i usuwania nieczystości pozostawionych przez konie na postojach i ulicach oraz przez bydło przyprowadzone w ubiegłych dniach na targ. Chodziło im o poniżenie ich godności wobec mieszkańców miasta. W pewnym momencie jakiś nieduży chłopiec przybiegł aby mi powiedzieć, że mój mąż zmiata ulicę przed gmachem sądu i mówił, że chciałby się ze mną zobaczyć. Pozostawiłam przygotowywanie obiadu i pobiegłam szybko aby się z nim zobaczyć. Niestety gdy przybyłam na wskazane miejsce

odprowadzono go już do więzienia. Może strażnik zauważył czy nawet usłyszał rozmowę z chłopcem i dlatego zabrał go złośliwie wcześniej, a może to była pora posiłku więziennego. Wróciłam do domu zmartwiona i zapłakana i tu spotkałam się z wymówką, niemal reprimendą ze strony moich lokatorek. Były to dwie panie - żona wyższego oficera z córką i 10-letnim wnukiem, które po wybuchu wojny uciekły z Warszawy i nasze władze wojskowe w Tarnopolu zwróciły się do męża z prośbą o udzielenie im gościny. Ich mężowie przekroczyli już granicę rumuńską z nadzieją zabrania rodziny z Tarnopola w dogodniejszym czasie. Te panie, panie ze stolicy pokrzywdzone przez wojnę (a ja nie!) uważały, że ja powinnam zapewnić im pełną obsługę (a ja do obsługi miałam troje maleńkich dzieci, z których najmłodszy synek Tytus miał dwa i pół roku, a pozostałe były niewiele starsze). Cóż Warszawianki! Otóż panie te wsiadły na mnie, że sobie gdzieś poszłam (były obecne gdy chłopiec przyszedł z poselstwem) i zostawiłam niedokończony obiad a one i dziecko są głodni. Powiedziały, że nigdy nie zajmowały się same gospodarstwem domowym i nie umieją gotować a moim obowiązkiem jest przestrzegać pory posiłków. Należało odpowiedzieć jak przystało, ale były gośćmi mego domu, a ja byłam bardzo zła na nie. Dowiedziałam się, że one wszystko straciły choć chyba nie była to prawda, ponieważ którejs z następnych nocy zjawił się jakiś mężczyzna i zaproponował za zapłatą (chyba dużą) przeprowadzić je przez granicę rumuńską. Zdecydowały się natychmiast, a ja nie płakałam po ich ulotnieniu się. Miałam ważniejsze troski na głowie. Chciałam koniecznie uzyskać widzenie z mężem. W tym celu udałam się do sądu z prośbą o wydanie mi przepustki. Zdawało się, że dana mi będzie radość, ponieważ wyznaczono mi widzenie 12 października (akurat dzień moich urodzin), był to dobry upominek. Dzisiaj wiem, że powinna mnie zdziwić łatwość z jaką udzielono mi pozwolenia na widzenie. Okazało się bowiem to wielką perfidią. Na 12 października wyznaczona była wywózka więźniów, o czym dobrze wiedzieli ci, którzy wydali mi przepustkę z tym terminem.

Oczywiście ja uradowana nie wiedziałam jaki mnie spotka upominek. No i 12 października wczesnym świtem wyprowadzono aresztowanych wojskowych i policjantów i pognano ich pod strażą na dworzec, gdzie ich załadowano do wagonów bydłowych i wywieziono do Podwołoczysk pod granicę radziecką i tam zarządzono postój. Kilka żon wojskowych i policjantów wyruszyło z bielizną, żywnością i mydłem do Podwołoczysk. Zobaczyły wszystkich więźniów a wśród nich swoich mężów, niektóre synów brudnych, obrośniętych i niesamowicie głodnych. Opowiadały, że na żywność rzucili się jak głodne zwierzęta. Ja męża mojego po wyprowadzeniu z piwnicy już więcej nie zobaczyłam.

Po wybuchu wojny rodziny wojskowe zostały finansowo zabezpieczone wypłatą półrocznej gaży (pewnie sądzono, że wojna dłużej nie potrwa). Oczywiście trzeba było zaopatrzyć się w żywność i ciepłą odzież dla dzieci, które przecież będą rosły, no i zostawić jakąś rezerwę. Zaczęłam więc pracować. Miałam kursy Czerwonego Krzyża. Zgłosiłam się do szpitala a dyrektor szpitala który odbierał poród mojego najmłodszego synka Tytusa, zatrudnił mnie na oddziale noworodków. Okazało się, że pomogło mi bardzo staranne przygotowanie wszystkiego co potrzebne do porodu (rodziłam w domu) i dla noworodka. Rod koniec września a może w pierwszych dniach października 1939r zjawił się u nas najmłodszy mój brat Tadeusz, który uciekł z niewoli niemieckiej po walkach pod Brzuchwicami koło Lwowa. Był to młody, 19-letni chłopiec, podporucznik, tylko co po ukończeniu podchorążówki. W jego oczach widniała cała groza wojny. Zaczął zaraz po odpoczynku pracować jako pomocnik-uczeń ślusarza i tak jakoś razem dawaliśmy sobie radę z utrzymaniem rodziny. Gdzieś w połowie listopada wysiedlono nas z mieszkania. Dano nam dwa dni na znalezienie mieszkania i przewozu co nie było wcale łatwe, ponieważ wysiedlano również innych. Muszę przyznać, że oficer radziecki, któremu powierzono dopilnowanie nakazu mjr. Biełousow postąpił z nami bardzo przyzwoicie. Mianowicie zapłacił nam 3000 rubli za pianino, które miał prawo po prostu zarekwirować, a ja i tak

musiałam je pozostawić nie mając odpowiedniego przewozu. W ogóle uważano pianino za zbytek - nie miałam zaświadczenia, że jestem nauczycielką muzyki i że to jest mój warsztat pracy - więc nie godzili się by mi je zostawić. Oficer ten poradził mi również, abym wymieniła w banku jak najprędzej wszystkie polskie pieniądze jakie posiadam na ruble, bo za parę dni utracę obowiązującą wartość. Zaraz następnego dnia po przeprowadzce udałam się do banku i stosunkowo łatwo wymieniłam naszą rezerwę, ponieważ nie rozeszła się wieść o planowanej wymianie, nie było więc jeszcze kolejek, w których później ludzie tłoczyli się i niemal bili bo okazało się, że naznaczono bardzo krótki termin wymiany. Gest radzieckiego oficera i jego pieniądze pozwoliły nam uniknąć finansowych trudności, a przede wszystkim pozwoliło nam na wynajęcie nowego mieszkania. Wynajęłam je w pięknej willi należącej do dyrektora ukraińskiej fabryki tytoniu i papierosów o nazwie "Kałynna". Trochę zabawne, że chodząc z dziećmi na spacer do parku, przechodząc obok tej willi zawsze się nią zachwycałam i myślałam jakby to było pięknie w niej mieszkać. Miała na piętrze piękne duże balkony, no i tuż niemal obok był park. Mieszkanie, które wynajęliśmy zostało opuszczone przez sędziego wojskowego w dużym pośpiechu i było umeblowane. Składało się z trzech pokoi, kuchni, przedpokoju i łazienki. Ugrzewane było lokalnym centralnym ogrzewaniem, wliczonym w cenę najmu. W tym mieszkaniu zamieszkała wraz z nami chrestna matka mojego starszego synka Marka, pani Lidia Kutowa - żona majora WP, w którego batalionie w Rybniku mój mąż był dowódcą kompanii. Radość nasza, a właściwie spokój, bo trudno mówić o radości w takich warunkach, no więc zadowolenie z mieszkania trwało bardzo krótko, bo już w niecały tydzień po przeprowadzce zjawili się 3 komandierów i oświadczyli, że to mieszkanie bardzo im się podoba i odpowiada wobec czego ja z dziećmi i tą drugą baryszną mamy się zaraz wynosić. No tu już mnie poniosło i poleciałam do wojskowego prokuratora na zażalenie. Trafiłam znowu na przyzwoitego człowieka, który wystawił mi nakaz na zajmowane mieszkanie z prawem wyboru lokatora spośród oficerów zgłaszających się w sprawie



wynajmu kwatery. Wracając do domu spotkałam przy furtce ogrodowej młodego, około trzydziestu lat, oficera krasnej armii, który miał szczerą twarz i grzecznie zapytał czy nie mam pokoju do wynajęcia. Budził zaufanie i zgodziłam się przyjmując go jako lokatora w pokoju z oddzielnym wejściem wprost z korytarza. Jak się okazało zostawił w Kijowie żonę i troje dzieci i z myślą o nich starał się nam pomagać w miarę możliwości. Nazywał się Nikołaj Aleksandrowicz Batowski i był synem Rosjanki i Polaka. Możliwości zaś pomocy miał dość duże, ponieważ służył w wojskach transportowych i miał możność przywozić nam tańszą żywność z terenu okolicznych wsi. Czasem nawet stawał w kolejce po mleko, masło czy chleb dla dzieci. Raz nawet przyniósł kilogram pomarańczy ze sklepu wojskowego dla oficerów. Nabrał można było oczywiście kupić na targu, ale tam było wszystko na wagę złota. Pamiętam taki opatrznościowy przypadek na targu. Rozmowy z gospodyniami przynoszącymi swoje produkty na targ były dość poufne i kiedyś przy kupnie sera i jajek jedna z gospodyń zwróciła się do mnie z prośbą o pozwolenie przyjscia z mężem aby posłuchać wiadomości podawanych z frontu przez radio, ponieważ syn ich walczył na froncie niemieckim. Nie umiem powiedzieć dlaczego zgodziłam się i podałam jej adres. Przychodzi oboje z mężem starszym już człowiekiem, przynosząc w podarunku piękną kurę zabita i już oprawioną. W czasie wizyty zapytali czy nie mam jakiejś męskiej odzieży. Sprzedałam im wojskowe szynele i spodnie i byłam oburzona jak strasznie się targowali, widząc nasze trudne położenie i drobne dzieci. Jakież było nasze zdziwienie gdy przed Bożym Narodzeniem zjawiała się ta gospodyni z pięknym indykiem i koszykiem jaj i ofiarowała nam to pod choinkę jako prezent. Powiedziała żebym się na nich nie gniewała za to targowanie, ponieważ jej zasadą jest kupować jak najtaniej ale lubi też okazać swój gospodarski gest. Opowiedziała mi, że ona z mężem wyjechała do Francji i tam spędzili piętnaście lat ciężko pracując, aby się dorobić, wrócić do kraju i kupić sobie gospodarstwo. Ich dzieci urodziły się we Francji. Wrócili dopiero pięć lat

temu, kupili gospodarkę, która się pięknie rozwija no i teraz nieszczęście - wojna. Bardzo się bała, aby nie uznano ich za "kułaków" i nie wysiedlili ich. Wywózki jeszcze się nie zaczęły i nie przychodziły nawet nikomu na myśl. Wracając do otrzymanych podarunków muszę przyznać, że indyka na święta nie miałam ani w ubiegłych latach ani potem. Ostatni imponujący indyk nadziwany szynką paradował na moim stole weselnym.

Nie pamiętam czy to było w początkach, czy pod koniec stycznia 1940 roku władze radzieckie ogłosiły, że wszyscy którzy chcą, mogą się zgłosić w odpowiednim biurze, gdzie otrzymają pozwolenie na opuszczenie Tarnopola i powrót do miejsca zamieszkania. Gdyby to nie było możliwe z powodu okupowania tych miejscowości przez Niemców, będą mogli wyjechać zagranicę. Moja współlokatorka Lidia Kutowa zapisała się na wyjazd zagranicę, ponieważ uprzednio mieszkała w Rybniku, dzieci nie miała a mąż poszedł na front. Podstawiono na stację wagony, zgłoszeni wsiedli i odjechali, tyle że nie wiem za którą granicę. Zapomniałam nadmienić, że prawo do wyjazdu miały osoby zameldowane poza Tarnopolem. W lutym 1940 roku stały na stacji długie pociągi towarowe tzw. bydlęce i nocą żołnierze radzieccy pod bronią wyprowadzali z mieszkań - ukazyanych przez milicję - całe rodziny właścicieli jakichś kamienic (pomieszczykow) sklepów i przedsiębiorstw oraz już częściowo rodziny policjantów. Wszystko to była ludność pochodzenia polskiego. Właściciele sklepów żydowskich na razie nie ruszano. Byli im widocznie potrzebni lub mieli jakieś inne plany co do nich. Odprowadzonych pod bronią ludzi ładowano do wagonów ciasno jak bydło, wagony zamykano na kłódki i pociąg ruszał w kierunku granicy radzieckiej. Trzeba pamiętać, że zima w 1939-40 była niezwykle surowa. Mrozy w Tarnopolu sięgały 35 a nawet 40 stopni. To była pierwsza nocna wywózka i zastała ludzi zupełnie nieprzygotowanych, wyrwanych ze snu z ograniczoną możliwością zabrania wszystkich rzeczy

potrzebnych do życia na obczyźnie. My na razie pracowaliśmy jako tako spokojnie choć w bardzo trudnych warunkach. Brakowało opału nawet w szpitalu gdzie pracowałam w oddziale noworodków jak już o tym wspominałam. Aby móc przewinąć 17-22 noworodków musiałam nalewać na dość głęboką i dużą tacę sporą ilość spirytusu denatrurowanego /jeszcze na szczęście był/, zapalać i w tak ogrzanej sali szybko przewijać mokre dzieciaczki, które musiały czekać na czas przewijania obojętnie jak długo już temu zrobiły siusiu czy jeszcze gorzej. Kąpiel odbywała się w podobny sposób z tym że to już na raty, ponieważ spirytus szybko się spalał.

Zmiana w moim mieszkaniu. Na fiński front został powołany mój lokator opiekun Kola. Odjeżdżając płakał i zabrał ze sobą w kieszeni na piersi wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, o który poprosił mówiąc, że wierzy że ten wizerunek ochroni go od śmierci i pozwoli wrócić szczęśliwie do domu. Słuch po nim zaginął, może wiara pozwoliła mu przeżyć. Na lokatora do pokoju po nim zgłosił się lejtnant Sasza Fiedorenko. Był on pochodzenia ukraińskiego a wraz z nim zamieszkał jakiś inżynier kolejowy, którego nazwiska chyba nawet nie znałam. Jak dobrze, że wczasie gdy mieszkał Batowski, zrobiłam pewne zapasy żywności. Stopiłam duży 5 litrowy słojej masła i drugi smalcu, kupiłam mąki, kaszy, cukru i soli a na naszym strychu leżała spora przyzma przynicy aby ją zemleć na wszelki wypadek. Narazie władze radzieckie nie wywoziły kupców żydowskich. Byli im jeszcze potrzebni lub mieli co do nich inne plany. Zaczęto przebąkiwać między ludźmi o nowej planowanej wywózce. Kto miał możliwość zaszyć się gdzieś u rodziny czy znajomych na głębokiej wsi, uciekał często zostawiając sporo mienia dla niepoznaki, ratując przede wszystkim życie. My nie mieliśmy żadnych możliwości. Rodzinę miałam aż za Krakowem - matkę, resztę w objętej działaniami wojennymi Warszawie, a część w lubelskiem a więc na terenach objętych już też wojną. Jak już mówiłam zima w roku 1939 była niezwykle ostra, a

przy tak silnych mrozach z maleńkimi dziećmi nie odważyła-  
bym się uciekać przez zieloną granicę, gdzie czuchali po  
obu stronach wrogowie. Nie mogłam narażać dzieci, wołałam  
zdać się na Opatrzność i zaufać Opiece Bożej i możliwie się  
przygotować. W kwietniu kolejarze przynieśli wiadomość  
o gromadzeniu się wagonów towarowych /bydlęcych/ jak przy-  
puszczali do kolejnej wywózki. Nie ulegało wątpliwości,  
że teraz przysła kolej na rodziny wojskowe, policyjne  
i . . . bogatych kupców żydowskich. I rzeczywiście w nocy  
około godziny 24 min 30, z 13 na 14 kwietnia zapukano do  
drzwi mieszkania. Ciekawe było, że pukanie było zwyczajne  
niemal dyskretne a oprócz tego umówionym znakiem. Sygnał  
ten znał prócz znajomych również lejtnant Fiedorenko, przy-  
chodził bowiem do nas na radiowe wiadomości frontowe. Nie-  
wątpliwie podał ten umówiony sygnał żołnierzom, którzy po  
nas przyszedli. Dzięki temu, że nie walili w drzwi kolbami,  
śpiące w sypialni dzieci nie obudziły się pełne przerażenia.  
Wątpię jednak czy powiadomieniu żołnierzy o umówionym syg-  
nale, przyświecał humanitaryzm. Wyjaśniono nam, że mamy się  
ubierać, powiedziano co i ile możemy ze sobą wziąć i zaczęto  
rewizję w mieszkaniu przewracając wszystko do góry nogami.  
Szukano dokumentów męża no i cennych rzeczy. Ja poszłam  
obudzić i ubrać dzieci, zostawiając pakowanie bratu. Żyw-  
ność była już dawno spakowana w mój wyprawny kufer ale oka-  
zał się ich zdaniem zbyt ciężki, wyjął więc Tadeusz woreczek  
i kaszę hreczaną i częściowo sól. Sądził, że takie pospolite  
artykuły są wszędzie na świecie dostępne. Nie zapakował też  
słoja ze smalcem. Ja ubrałam dzieci, jak się potem okazało  
w potrójną warstwę odzieży, nie umiem powiedzieć czy ze  
zdenerwowania czy z myślą o mrozie. W każdym razie okazało  
się to pożyteczne. Teraz mogłam i ja zacząć pakować, co  
naprawdę nie było łatwe w bałaganie, który zrobili żołnierze  
przy rewizji. Pamiętam, że do kuferka, który służył mężowi

w czasie manewrów letnich włożyłam prawie wszystkie ciepłe swetry i spodnie, ale po załadowaniu nas do wagonu tego kufierka żołnierze nie wstawili. Widocznie żołnierz, który stał w przedpokoju na straży choć uważał się nad rebionkami /dziećmi/ i niemal płakał patrząc na ich niedolę wołał skorzystać ze skarbów w nim zawartych. Popełniłam jeszcze jeden karygodny błąd. Pod stołem w kuchni stał kosz na brudną bieliznę pełen bielizny pościelowej przygotowanej do prania. Wydawało mi się rzeczą niemożliwą zabrać brudną bieliznę /idiotka!/. Uparłam się jednak aby zabrać łóżeczka dziecinne i składane łóżko polowe oraz kilim i wycięłam z ram obraz Matki Boskiej wiszący nad łóżeczkami i zwinawszy w rulon zabrałam.

## 2. Na Sybir - Dżoł-kuduk

Przed naszym domem w Tarnopolu czekała ciężarówka, która po załadowaniu nas i rzeczy przewiozła nas do wagonu bydłowego stojącego razem z długim składem na dworcu. Chyba były tam jakieś posłania z desek ułożone piętrowo, ale oczywiście nie starczyło ich dla wszystkich. W naszym wagonie było około sześćdziesięciu osób, Polaków i Żydów. Różny był też wiek - od młodych chłopców uczniów do staruszków. Matką która miała ze sobą troje dzieci i to małych dzieci byłam tylko ja. Ale była matka z trzylatkiem i niemowlęciem oraz żona policjanta Janina Mazurowa z dwojgiem dzieci, trochę starszych od moich. Okazało się, że mój upór aby zabrać dziecinne łóżeczka, pozwolił nam stworzyć sobie jakiś trochę mini dom. Tadeusz spał na kufrze, co z uwagi na jego wzrost było oczywiście uciążliwe. Ja miałam polowe łóżko. Po załadowaniu wagony zostały zamknięte na kłódki, każdy pozgarniał koło siebie węzełki i worki i pociąg ruszył w siwiejącą dal. Był w wagonie jakiś kubeł no i wycięta w podłodze okrągła dziura, która służyła za ubikację. Obok mnie jechały dwie stare Żydówki z synem pięćdziesięcioletnim mężczyzną, dla którego druga z kobiet była ciotką.

Ogromnie nie mogły pogodzić się z zaistniałą sytuacją i przychodziły do mnie się wyżalać. Raz dziennie, na jakichś tam stacjach dostarczano nam czarny chleb i kapiatok /gorącą gotowaną wodę/ parę razy zaserwowano nam szczy /kapuśniak/ tyle tylko, że kapustki w listkach goniły się w jakiejś mętnej wodzie, a ziemniaków w niej niestety nie można było się dopatrzeć. Dzieciom dawałam dla pokrzepienia trochę cukru a chleb smarowałam topionym masłem. Tak po trzech tygodniach jazdy coraz bardziej głodni i zmęczeni oraz zawszeni przybyliśmy do Pawłodaru. Tu nie dano nam już nawet kapiatku, nie mieli czasu, bo trzeba było zorganizować transport samochodowy. Zapomniałam jeszcze powiedzieć o bardzo przykrym wydarzeniu podczas podróży. Niemowle, które jego matka starała się ile możliwości utrzymać przy życiu, karmiąc i susząc pieluszki, owijając je na własnym ciele, niestety a może na szczęście zmarło. Nasi drodzy rodacy nie życzyli sobie jechać z trupkiem i nie czekając na postój na jakiejś stacji zmusili matkę do wyrzucenia zwłok dziecka przez okienko. Bywamy tacy okrutni! No, ale przyjechaliśmy do Pawłodaru. Nie dano nam jeść i pić ale przyniesiono gazetę "Pawłodarskuju Prawdę". Byli wśród nas ludzie znający język rosyjski, więc dowiedzieliśmy się z tej gazety, że przyjechali z Pol-szy dobrowolni bieżący /uciekiniery/ i że przyjęto ich w Pawłodarze bardzo gościnnie i zabezpieczono kwatery. Dobrowolcy zamknięci pod kłódką. Co za ironia i perfidia. Może z żołnierzami ta gazeta powędruje do Europy, więc niech oni tam się dowiedzą jacy to jesteśmy życzliwi. Przyjęliśmy biednych uciekających z ojczyzny braci Polaków. Znalazły się nareszcie samochody. Przeładowano nas do nich i nadal nie karmiąc i nie pojąc powieziono nas na przydzielone "kwartiry". Pamiętam, że chyba już z wyczerpania zemdlałam. Do przytomności obudził mnie krzyk i płacz dzieci. Wydawało im się, że umarłam. Jechaliśmy około dwóch godzin i zatrzymaliśmy się w szczerym stepie, gdzie stały jakieś nieduże budy jak kurniki i kazano nam wysiadać i zadomowić

się, bo to będzie teraz nasze miejsce pobytu. Janka Mazurowa zeskoczyła z ciężarówki - my zaskoczeni widokiem nie chcieliśmy wysiadać. Otóż Janka poszła oglądać te nasze kwatery. Była to bojowa babka, to też gdy wróciła zła i zapłakana pomyśleliśmy, że jak Janka płacze to chyba źle. Niestety nie było wyboru, zmuszono nas krzykiem i szturchaniami do opuszczenia ciężarówek. Poszliśmy szukać sobie domku. Wszystkie były właściwie jednakowo nie do zamieszkania. Nie miały drzwi i okien, wewnątrz jakieś niby palenisko, bez żadnej płyty czy drzwiczek. Zbudowane toto było z wielkich bloków glinianych, cztery razy większych od normalnej cegły, podłogę stanowiła gliniana polepa, dach, pokryte chrustem i ziemią krokwie. To coś na stepie było sowchozem i nazywało się Dżoł-kuduk. Ze mną i dziećmi zamieszkała jeszcze jedna rodzina złożona z matki, syna sporego uczniaka i dziadka, który w czasie drogi zupełnie stracił wzrok. Nie muszę dodawać, że warunki były bardzo trudne, żeby nie powiedzieć wręcz straszne. W paru chatach mieszkali kirgizi. Należało do nich przydzielanie i pilnowanie naszej pracy. Trzeba było sobie jednak radzić. Moja współlokatorka miała duży rondel do smażenia konfitur. Wraz z Tadeuszem przypasowała ten rondel do wylepionego gliną paleniska tworząc rodzaj kuchni. Okna zawiesiliśmy przyklepionymi gliną firankami a drzwi zostały zabezpieczone kocem przybitym do górnej ramy. Bardzo trudno było nam porozumieć się z Kirgizami, ponieważ oni nie bardzo znali język rosyjski, a my oprócz nielicznych też go nie znaleźliśmy, nie mówiąc oczywiście o kirgiskim. Usiłowaliśmy się dowiedzieć gdzie zdobyć opał a oni popatrzyli na nas jak na wariatów, pokazując nam palcami na step i suche bydłące łajno. Mój brat Tadeusz wziął worek zaostrzył jakiś patyk, nałożył rękawiczki i poszedł zbierać "kiziaki", tj. opał. Nawóz okazał się wspólnym paliwem i nareszcie można było coś ugotować i zjeść. A byliśmy już niesamowicie głodni. Bardzo zmęczeni położy-

liśmy się dość wcześnie spać uprzedzeni przez "uprawlajuszczego" o stawieniu się skoro świt do roboty. I tu znowu przydały się nasze łóżka. Inni musieli spać na kudze /gruba słoma, używana również na opak tam, gdzie nie było bydła/ rozłożonej bezpośrednio na glinianej podłodze. Rano poszliśmy do pracy. Przyprawiono nas na wielki plac, gdzie stały ogromne przyzmy, stogi nawozu, składanego chyba parę lat, bardzo zbitego. Otóż należało z tej przyzmy wyciągać widłami strzępy nawozu i układać w duży krąg na wysokość pół a może trzy czwarte metra. Potem beczkami umieszczonymi na saniach przywoziło się wodę z pobliskiej studni. Siłą pociągową były byki. Narazie wodę przywozili kirgizi. Nikt z nas nie kwapił się na spotkanie z bykami. Wodą zalewało się nawóz, ułożony w kręgu a potem wyprzęgało się byki i wpędzało się je do nawozu aby racicami utworzyły jednolitą masę. Ale taka masa nie nadawała się do wyrobu "kiziaka" i wtedy nas wpędzano do nawozu, abyśmy nogami nadali tej masie pożądaną gładkość. Następnie znowu przy pomocy sań i byków rozwoziło się tą masę cuchnącą, niejako ożyłą pod wpływem wody na stanowiska, przy których ustawiono nas z formami podobnymi jak do wyrobu cegieł i polecono formować - oczywiście gołymi rękami - takie gnojowe cegiełki, które po wysuszeniu na słońcu stanowiły opak dla całego sowchozu. Oczywiście mieszkańcy dla siebie musieli się zabezpieczyć indywidualnie. Oni chyba ten nawóz składali latami w oczekiwaniu na niewolników, tak wiele było tych stert i taki był zbity. To była pierwsza połowa maja ale temperatura była bardzo wysoka, no i zajęcie było przecież męczące w pochyleniu. Kobiety postanowiły mimo otaczających nas kirgizów i naszych chłopców i mężczyzn rozebrać się niemal "do rosołu" tzn. pracowałyśmy tylko w koszulkach i majteczkach. W południe była przerwa na zrobienie sobie i dzieciom posiłku. Nie myjąc nóg, na których nawóz już zamienił się w skorupę obmywszy szybko ręce, które i tak "waniały" wpadało się do domu aby nakarmić dzieciaki, no i samym się pożywić. Opisałam



umyślnie sposób w jaki Tadeusz poprzedniego dnia zbierał w rękawiczkach suchy nawóz, aby uwypuklić komiczną sytuację dni następnych. W naszym transporcie była z nami p. Zofja Lenartowa z synkiem Dareczkiem. Była z nią również jej siostra, nauczycielka z Warszawy, która już po zamknięciu wagonów zgłosiła się dobrowolnie z upartą prośbą aby ją zabrać bo chce pomóc siostrze i jej dziecku. Pani Zosia mieszkała z nami w bloku oficerskim naprzeciwko naszego mieszkania w Tarnopolu. Razem z jej siostrą i moim bratem było nas cztery osoby dorosłe na czworo dzieci. Postanowiliśmy, aby jedna osoba na zmianę zostawała z dziećmi i gospodarowała w domu, ale nasi szlachetni przyjaciele kazali "rabotać wsiem". Wobec tego czwórka dzieci, z których najstarsza była Marysia - pięć i pół roku i najmłodszy Dareczek - dwa i pół roku a pośrodku Tytus i Marek pozostawała zupełnie bez opieki. Nie groziły im samochody, ale pełno było glinianek, no i studnie z niezakrytą cembrowiną. Cały czas przy pracy nie odstępowała nas myśl o grożących im niebezpieczeństwach i z lękiem pędziliśmy na przerwie obiadowej do domu. Ale cóż, ważniejszy był kiziak, kiziak, kiziak i wciąż ten kiziak. W mojej lepiance nastąpiła zmiana lokatorska. Starszy pan Gorzkowski czuł się zmęczony obecnością trójki dzieci i wyprowadził się do ludzi odpowiadających mu bardziej wiekiem. Oczywiście wyprowadziła się również jego synowa z wnukiem. Na ich miejscu zamieszkała Zosia Lenartowa z Dareczkiem i siostrą Gienią. Największą plagą narazie były pchły. Była ich niesamowita ilość. Nie miałyśmy stołu i posiłki spożywało się również na moim rozłożonym na ziemi kilimie a pchły urządziły wyścigi w skokach do naszych kubków i miseczek. Nie było wprost na nie sposobu.

W pewnym okresie pracy przy kiziaku zaproponowano mnie, Zosi i Gieni pracę przy dojeniu krów na wyjeździe w stepie. Miałyśmy tam dostawać mleko dla dzieci, więc oczywiście zgodziłyśmy się, choć ja osobiście w Tarnopolu na widok krowy pro-

wadzonej zbyt blisko truchlałam ze strachu. No ale propozycja była zbyt nęcąca. Tak oto zostałam dojarką. W ferworze pisania zapomniałam wyjaśnić, dlaczego nasze lepianki miały drzwi i okien oraz palenisk umożliwiających przygotowanie posiłków. Otóż daleko w stepie, kilkanaście kilometrów odległe od głównej fermy było podobne osiedle złożone z lepianek, które służyły tylko w czasie gdy bydło było na wypasach. Pilnujący stad kirgizi zabierali wówczas z fermy drzwi, okna i czugunne kotły i montowali je w tamtych lepiankach. Na zimę wracając przywozili cały majdan z powrotem. Wypas bydła daleko od fermy miał na celu oszczędność pastwisk bliższych fermy, co umożliwiała zbiór i zwózkę siana z mniejszej odległości. Trudno tu odmówić racjonalnego myślenia. No więc, pojechałyśmy na wypasy i pokonując lęk zaczęłyśmy doić krowy. Muszę przyznać, że nie bardzo mi to szło a do tego jeszcze obietnice co do mleka, jakie miałyśmy otrzymywać dla dzieci okazały się tylko chwytem reklamowym. Ponieważ byłyśmy nieudolne jako dojarki, wyrzucono nas z powrotem do bazy. Bezpośrednim powodem okazało się domaganie wypełnienia obietnicy dotyczącej mleka dla dzieci. Trzeba przyznać, że ja byłam w tym czasie dość bojowa, głośno domagająca się praw robotnicy i nawet uzyskałam miano "rugajuszczejsia/. Byłam elementem niepożądanym. Wróciłyśmy więc do głównej bazy. Dnia 23 maja aresztowano Gienię pod zarzutem zadojenia krowy, co było tylko pretekstem bo okazało się że krowa była cielna i zaczynała dawać mniej mleka. Tak skończyła się pomoc siostrze, dla której tak bohatercko ofiarowała się jechać w nieznaną przyszłość. Wywieziono ją do kopalni złota w Karagandzie. Okazało się, że już w Tarnopolu była poszukiwana przez władze sowieckie. Pewnie dlatego wyrazili wtedy pozwolenie na jej wyjazd, chociaż nie była w spisie do wywózki. Zmieniono nam pracę. Pogoda była piękna, temperatura bardzo wysoka i codziennie rano wożono nas wozem drabiniastym do zbioru pierwszego pokosu

siana. I oto niespodzianka. Przywykłyśmy już chodzić w tej temperaturze niemal nago, aż tu gdzieś na połowie drogi do pracy zaczął padać najprawdziwszy śnieg. Do dzisiaj nie mogę zrozumieć jak to było możliwe. Uciekłyśmy pędem parę kilometrów do bazy. Kirgizi, a właściwie Kazachowie nawet w największy upał chodzą ubrani w watowane chałaty, mogli więc nie bać się również śniegu. Po naszym powrocie z wyпасów, inwazja pcheł jeszcze się nasiliła. Nigdy w życiu nie widziałam takiej masy insektów. Widocznie był to wpływ klimatu. Mieliśmy dwa piękne moje wyprawne jasno-różowe koce, dość puszyste. Rano unosząc koc stwierdzało się, że jest brązowy. Pchły pojedynczo a czasem w duecie pokrywały szczelnie całą tkaninę. Można sobie wyobrazić jak wyglądały nasze ciała pogryzione do krwi. Nie było żadnych środków owadobójczych. Trudno sobie wyobrazić, że i dlaczego nie ulegliśmy/jakiemuś zakażeniu. To co piszę wygląda na niezdrową przesadę a jednak to niestety zupełnie ponura prawda. A jednak okazało się że można się przyzwyczaić do insektów, bo poprostu nie było innego wyjścia. Trzeba było żyć i trzeba było ciężko pracować. Po kiziaku i sianokosach przyszła budowa cielętnika. Gdy nam powiedziano "nu Polaczki, my was nauczym rabotać" uniosłam się niezdrową ambicją i nie chcąc słuchać pokrzykiwań i otrzymywać poszturchiwania starałam się pracować dobrze. Sądziłam przy tym, że jakoś zarobię na nasze utrzymanie. Zapasy się kończyły, żywność chciano nam sprzedawać za rzeczy, a właściwie za resztki materiału pozostałe z szycia, bowiem by zapłacić za sztukę całej odzieży nie było ich stać. Zarobki były podłe. Za to co mi wypłacono za pół roku w sowchozie można było kupić niecałe dwa bochenki chleba na bazarze. Byłam więc murarzem, woziwodą i znowu dojarką. Byłam bardzo naiwna, że pokazałam iż żadna robota mnie nie przeraża, bo wymagania rosły a siły się wyczerpywały. Zupełnie inną taktykę /jakże mądrą/ przyjęli nasi towarzysze

niedoli - Żydzi. Oni byli z miasta /jak i my/ i od początku okazywali, że nie mogą tak ciężkiej pracy podolać. Robili to tak autentycznie, że w końcu uwierzono im i przydzielano jakieś mało ważne czy lżejsze prace. Dzięki temu ich siły wyczerpywały się nie tak szybko jak nasze. I tak dzień za dniem, żniwa, silosowanie, w czasie którego zdarzył się bardzo niemiły wypadek. Była niedziela, godzina około ósma wieczorem, a my jeszcze przy pracy. Silos to tam /nie wiem jak u nas/ wielki, okrągły dół średnicy około 5 metrów, nad którym na krawędzi stały dwie sieczkarki, które posiekaną trawę korytkiem przekazywały do dołu. Tam na dole pracowało dwie kobiety i dwa byki. Tałowały one racicami trawę aby została dobrze ubita. Trzeba je było poganiać. Jedną z kobiet pracujących na dole była Zofia Lenart. Włókna z posiekanej trawy bardzo męczą oczy, niemal wbijając się w powieki. Zosi powieki tak zapuchły, że zwróciła się z prośbą do nadzorującego Kazacha, aby pozwolił jej popracować na górze przy sieczkarce. Nie zgodził się i zrozpaczona Zosia wyszła z dołu bez pozwolenia, zdecydowana tam nie wracać. Kazach zaczął na nią wrzeszczeć, a na jej zdenerwowaną uwagę że święto i już wieczór z widłami postawionymi na sztorc zaczął się groźnie do niej zbliżać. Widząc jaka jest zeterminowana zbliżyłam się do Kazacha, chcąc go za ramię odciągnąć, ale zachnął się i moja ręka obsunęła się na jego brodę. Zły wręcz wściekły obrócił się do mnie i grzmotnął mnie przez plecy na płask widłami. Uderzył mocno ale Zosia była uratowana. Na drugi dzień nie wezwano mnie do pracy i doniesiono mi, że będę sądzona za pobicie pracownika. Zaświadczyło to dwóch Kazachów, którzy w ogóle w niedzielę nie byli obecni na fermie, ponieważ przebywali w Pawłodarze. Wiadomość przyniosła Janka Mazurowa i kazała mi pokazać plecy. Były oczywiście ślady po uderzeniu wideł ale ona jeszcze te ślady na wszelki wypadek posiadała i kazała mi iść do "upravlajuszczego" pokazać kto tu został pobity. Poleciałam do

biura ze skargą i zaczęłam ściągać bluzkę, ponieważ na moje oświadczenie, że złożę pisemne zażalenie powiedział, że sam sprawę rozsądzi. Chciałam mu pokazać pobite miejsce ale ja-koś uwierzył, poprosił abym do zwierzchności nie pisała, a on sam ukarze Kazacha. Powiedziałam, że pójdę do lekarza aby mi wydał zaświadczenie o pobiciu, więc chyba się prze-straszył. "Uprawlajuszczy" był Rosjaninem. Tak było na wszystkich kierowniczych stanowiskach, z którymi się zetk-nęłam. Musiał zdrowo obrugać Kazacha, bo następnego dnia gdy spotkał mnie na podwórzu pchnął mnie tak mocno, że po-leciałam przez podwórze i upadłam. Poleciałam znowu do kan-celarii ale kierownik prosił bym nie wyciągała z tego kon-sekwencji. W czasie gdy byłam w biurze Tytus na podwórzu przyglądał się wózkowi i zaprzęgniętemu w wielbłąda. W pew-nym momencie wielbłąd ruszył nagle, Tytus się przewrócił i koło wózka przejechało mu po palcu u ręki. Dobrze, że było to koło tylne bo mógłby zostać wciągnięty pod wózek. Na szczęście palec okazał się tylko przybity a nie złamany. Tak dzień po dniu upływał czas, szczęśliwie już bez wypad-ków aż do jesieni.

W jesieni zaczęli wracać z wypasów Kazachowie. Oczywiście chcieli zamieszkać w swoich chatach. Zosię Le-nartową z Dareczkiem przeprowadzono do innej rodziny, a nas, a więc pięcioro ludzi, umieszczono w połowie kuchni. Na zsu-niętych łóżeczkach dzieci spaliśmy we czworo, a Tadeusz na polowym. Te łóżeczka służyły w nocy do spania, a w dzień stanowiły dla nas przestrzeń do całodziennego życia. Jeśli była pogoda to pół biedy, bo dzieciaki biegały po dworze. Drugim utrudnieniem było sporządzanie posiłków. U Kazachów nad paleniskiem wmontowuje się na stałe kocioł czugunany w kształcie półkuli, wykończony wewnątrz na sposób naszych nie emaliowanych patelni. Do usuwania reszty pokarmów i mycia

służył metalowy półksiężyc na trzonku drewnianym, którym skrobało się wewnątrz kotła a następnie myło wodą i wycierało. W tym czugunie gotowało się wszystko, zarówno mleko jak i mięso czy zupy. Oczywiście my mieliśmy prawo używania kotła dopiero po właścicielach. Mimo, że zabraliśmy z Polski trochę naczyń to i tak do gotowania mogły nam służyć ewentualnie na dwóch samanach /duże, niewypalone bloki gliniane, służące do budowy chat/ ustawionych na dworze przy pomocy ognia z kiziaka. Wszystko to było bardzo trudne z uwagi na obowiązek pracy i krótką przerwę obiadową. Po jakimś czasie pozwolono by jedna z kobiet zostawała w domu przy dzieciach i "gospodarstwie". Wtedy ona przygotowywała posiłki dla obydwóch rodzin tj. Zosi i naszej. Pozostałyśmy tylko my dwie, bo jak pisałam Gienię aresztowano i wywieziono do kopalni złota. Muszę jeszcze zaznaczyć, że kwatery były wyznaczane przez "uprawiajuszczygo" i nie wymagały zgody gospodarza. Rodzina mojego gospodarza była dwupokoleniowa Składała się z teściowej, której głos po gospodarzu miał najważniejsze znaczenie, chyba że synowa urodziła syna. Nasza gospodyni miała córeczkę, małą Dżamilę, więc domem rządziła teściowa. Ponieważ byliśmy przymusowymi lokatorami, więc życie często układało się nie zupełnie harmonijnie. Poza tym te dwie kobiety potrzebowały mieć miejsce w kuchni, często więc w czasie naszej nieobecności przepędzały często dzieciaki na dwór niezależnie od pogody. Zazdrość gospodyni była tym większa, że to lokatorka miała dwóch synów a ona tylko córkę, choć muszę przyznać, że płęć jej dziecka nie miała wpływu na jej wielką miłość, którą to dziecko obdarzała. Na ogół była to zupełnie miła kobieta. Ona nam nie dokuczała. Prawdopodobnie obawiała się, że poskarzę się mężowi a nie rozumiała, że w jej i tak trudnej sytuacji nie byłabym do tego zdolna. Gorzej było ze starszą Kazachską. Tej byliśmy solą w oku. Zmiany pór roku następują w Kazachstanie dość nagle i oto pojawiły się zimowe chłody.

Wtedy nasi gospodarze litując się nad "skatiną" /bydło, barany/ wprowadzili do kuchni owce nam do towarzystwa. Całe szczęście, że choć krowa została w obórcie. Dzieciaki /Dareczek też/ obcując z Dżamilą uczyły się kazachskiego języka. A jest on raczej trudny, ponieważ często dwie a nawet trzy spółgłoski następują po sobie, np. na jaja mówi się "dźmur-tka", masło to "maj" a woda "sud". Gdy pytasz, dokąd idziesz to mówisz: kajda barasen? Odpowiedź brzmi: sud akelemn - idę przynieść wody. Pytasz: czy są jajka - dźmurka bar ma?, czy sprzedasz jajka - dźmurka satasam ba?, ma - mam, sata-sam ba - sprzedam. Ja osobiście niewiele więcej zapamięta-łam. Dzieci szwargotały już nieźle, ale nie wiem czy coś do dziś zapamiętały.

### 3. Rybałka

Znowu wysiedlenie. Naczalstwo postanowiło przesiedlić część rodzin do Rybałki. Był to tym razem kołchoz rybacki i dla kobiet nie było tam pracy. Przesiedlenie obejmowało nas, Zosię z Darkiem, Jankę Mazurową z dwojgiem dzieci i Marię Sławińską również z dwojgiem dzieci. Byli i inni ale nie byliśmy tak blisko zaznajomieni, więc nie pamiętam nazwisk. Mój pierwszy współlokator pan Gorzkowski nie dożył zimy. Zapomniałam napisać, że Kazachowie nie uznają wieprzo-winy. Nie umiem powiedzieć, czy posiadali jakąś religię w ogóle czy może byli mahometami. W każdym razie u nich zwierzęciem tucznym był koń. Do pracy polowej czy pociągo-wej używali byków /ściślej chyba były to woły/. Otóż któ-regoś dnia młoda gospodyni przyniosła mi wiadomość - było to jeszcze w Dżoł-kuduku - że u sąsiadów zabili źrebaka i można kupić koniny. Ona sama już kupiła i w kotle właśnie konina się gotowała. Oni nie znają żadnych jarzyn i gotują rosół na samym mięsie z solą, ale tego mięsa wkładają do czuguna bardzo dużo. Słyszałam, że mięso końskie jest słod-kie. Nie wiem czy to prawda, ale para unosząca się z kotła była jakoś słodkawa. Gospodyni, której powiedziałam, że

nigdy nie jadłam końskiego mięsa, ukroiła mały kawałeczek mięsa aby mnie poczęstować. Trzy razy podnosiłam widelec do ust i za każdym razem robiło mi się niedobrze. W końcu przemogłam się i spróbowałam. Było bardzo smaczne ale chwila mojego wahania wystarczyła aby mięsa już zabrakło. I jeszcze jedno przeżycie z Dżołkuđuku. Zachorowałam na ciężką biegunkę krwawą, więc była to chyba dezynteria. Ponieważ jeszcze przed nią chorowałam na odrę - tak, tak na odrę - która u dorosłych ludzi jest chorobą ciężką, więc byłam bardzo wycieńczona, ledwie powłóczyłam nogami. Wiadomo, że przy takiej chorobie konieczna jest w normalnych warunkach dieta, ale warunki były nienormalne a ja byłam bardzo głodna. Ponieważ była niedziela i większość rodzin poszła do Pawłodaru /pojechała powo<sup>d</sup>ami zaprzęgniętymi w woły/ zakradłam się do pomieszczenia, w którym odwirowywano mleko i nalałam sobie do przygotowanego garnka z bańki mleka i po przegotowaniu wypilałam chyba z pół litra gorącego mleka. Wydawało mi się w tym moim osłabieniu wszystko jedno czy mnie to uleczy czy zabije. Ale Opatrzność czuwała jak zawsze i to mleko wzmocniło mnie a co dziwniejsze biegunka ustąpiła.

No tak, żegnaj Dżoł-kuđuku. Przesiedlono nas do Rybałki na zimę ale nie pozwolono nam zabrać opału, który zbieraliśmy przez lato i jesień w każdej wolnej chwili, bo uprzedzono nas, że w zimie mrozy dochodzą do 50 stopni. Otóż nie pozwolono nam zabrać przygotowanego "kiziaka", ponieważ na naszym sowchozie było chore na bursulozę /rodzaj gruźlicy/ i odchody tego bydła nawet suche mogłyby przenieść zarazę do Rybałki. Tak więc zostaliśmy w zimie bez opału. Przydzielono nam pokój z kuchenką i pouczono, że w piecu pali się kugą /rodzaj słomy grubej, raczej szwaru/ i że tej kugi należy sobie naciąć przy zamarzniętych stawach i przywozić sankami. Nauczono nas też sposobu palenia nią w piecu. Należało robić małe wiązki, podpalać



i powoli dokładać, aż piec będzie gorący. Gdy już wypaliło się dokładnie wszystko, zasuwano się "szyber", który chronił piec przed uciekaniem ciepła. Jako tako starczyło to w dzień, gdy człowiek pozostawał w ruchu, ale w nocy było bardzo zimno a po paru tygodniach zimno na ścianach naszego pokoju srebrzył się szron. Tadeusz dostał pozwolenie na przeniesienie się do Pawłodaru, gdzie potrzebowano mężczyzn do pracy. Sądził, że będzie mógł nam pomagać. Odwiedzał nas raz w tygodniu przynosząc trochę pieniędzy i butelkę mieszanki naftowo-spirytusowej, która służyła nam do maszynki spirytusowej a właściwie do prymusa. Tak zaczęłam podgrzewać dzieci w nocy gorącymi butelkami z wodą. Zestawione łóżeczka pokrywało się kilimem, podwijając go pod materace i wsuwało się butelki aby nagrzać posłanie. Następnie wsuwało się rozebrane dzieci. Ja spałam pod kocami na polowym łóżku z butelką, która niestety szybko stygła. Zaczęło być nad wyraz ciężko. W Dżou-kuuduku pracowałam, więc dostawałam ja pół kilograma chleba /ciężkiego bo jęczmiennego/ a dzieci po dwieście gramów jako "pajok" rodzinny. Tutaj nie przydzielono nam żadnej pracy ponieważ mężczyźni pracowali jako rybacy a stada bydła nie było. Każda rodzina swoją krowiną opiekowała się sama. W Kołchozie Rybałka pracowali w większości Rosjanie przesiedleńcy, którzy się już tu zadomowili i w miarę zagospodarowali. Kazachów było znacznie mniej. Łatwiejsze było porozumiewanie się. Kiedyś Rosjanka zapytała mnie czy nie umiem szyć. Przed wojną szyłam wszystko sama dla dzieci i po sprowadzeniu form z "Przyjaciółki" sobie też. Ale dla nikogo nie szyłam, a kroilałam na podstawie formy. Ale musiałam spróbować. Oni za usługi płacili żywnością a nam była ona już bardzo potrzebna. Opowiem smutną historię. Obiecałam córce Marysi na imieniny w grudniu postarać się o kromkę chleba z masłem i mleko. Zdobyłam już masło i mleko i tylko chleba nie mogłam zdobyć. Poszłam do zamożnej Rosjanki wyjaśniłam, że moja mała córeczka ma dzisiaj

imieniny i że chciałam jej sprawić radość z chleba. Udawała bardzo wzruszoną a nawet oświadczyła, że gdyby miała to by dała ale niestety nie ma. Na stole w kuchni stały duże bochenki chleba oparte o deskę nad stołem i przykryte lnianym obrusem. Nie udało mi się sprawić radości dziecku. Czasem Tadeuszowi udało się kupić trochę chleba na bazarze w Pawłodarze, to było święto. Dałam Tadeuszowi do sprzedania mój zegarek. Był to prześliczny, mały zegarek, złoty zdobiony emalią, podarunek ślubny od mojego męża. Tadeusz kupił za niego worek mąki pszennej, która okazała się bardzo gorzka. Tadeusz po jej kupieniu nie miał narazie możliwości przewiezienia jej do Ryb-alki. Czekać na okazję zostawił mąkę na tzw. postojale /magazynie/ i widocznie ktoś sprytny a nieuczciwy zamienił naszą mąkę na worek mąki zmielonej z piólkunem. Pewien Rosjanin z Ryb-alki wiozł zboże do młyna i twierdził, że ma znajomego młynarza i że on napewno zechce nam pomóc i naszą mąkę po garści rozsypie do dużej ilości worków, nie robiąc tą mieszanką nikomu szkody a nam da dobrą mąkę za dwa tygodnie.. My mieliśmy już tylko trochę otrąb. Na domiar wszystkiego zaczęły się "burie". Są to takie zamiecie śniegowe, że czasem nic nie widać na metr przed sobą. Podczas takiej śnieżycy mróz staje się trochę mniej ostry, tzn. zamiast 40 stopni czy 45 stopni może temperatura podnieść się do 25° a nawet do 15°. W czasie takiej śnieżycy /napadła ją w drodze/ wracała jedna z Polek, która udała się do sąsiedniej wsi, w której pracowało jej dwoje dorosłych dzieci, aby zanieść im pobrany dla nich "pajok". Zabłądziła i wpadła częściowo nogami do tzw. oparzeli /niezamarnięte miejsce przy brzegu stawu/ i tam ją odnaleziono, ale niestety obie stopy uległy odmrożeniu i odpadły jej u jednej nogi palce, a u drugiej pół stopy. Matka czworga dzieci wyszła z domu po wodę do pobliskiej studni i zaskoczona przez "burie" nie trafiła do domu i zmarła na śmierć. Pewnej soboty

Tadeusz jak zwykle wybrał się do nas z Pawłodaru. Zaskoczyła go w drodze śnieżycą i błądząc trzykrotnie kołując wracał w to samo miejsce i już zdecydował się usiąść i zamarznąć gdy zobaczył płomyk lampy zapalanej w chacie na końcu wsi i cały mokry od potu i emocji dotarł do domu.

Któregoś dnia zjawiała się u mnie z dziećmi na plecach Janka Mazurowa. Wiatr zwał dach z lepianki, w której mieszkała i sprowadziła się do nas. Umiała wróżyć i w ten sposób udawało się jej czasem zarobić jakąś żywność. Ponieważ jednak była palaczką, to często wróżyła za machorkę a dzieci jej i moje głodowały. Gdy ja coś uszyłam zgrabiakymi palcami to żywiłam moje i jej dzieci. Któregoś dnia, gdy się trochę przejaśniło poszłam z prośbą do jednej rosyjskiej chaty. Prosiłam o trochę otrąb. Odmówiono mi ponieważ potrzebne im były dla "skatiny". Jasne "skatina" była ich a dzieci moje. Pogoda się jakby ustaliła, więc pora było wyruszyć do młyna po mąkę. Wzięłam sanki i wyruszyłam. Do młyna było około 10 kilometrów. Wiadomo, że nie wrócę tego samego dnia. Młynarz wywiązał się z obietnicy, mąka była jeszcze trochę gorzkawa ale dała się jeść. Przenocowałam w młynie i na drugi dzionek wyruszyłam do domu tym razem z sankami obciążonymi workiem mąki. Wędrowałam po stepie, białym i pustym samiuteńka i w ogłuszającej ciszy, jeśli nie brać pod uwagę chrzęstu śniegu pod płozami i stopami. Zaczęło się powoli ściemniać. W wojłokowych, długich "pimach" idzie się nadzwyczaj wolno. Step był już rozjaśniony tylko bielą śniegu. W jakimś momencie uświadomiłam sobie, że po obu stronach w stepie świecą wilcze oczy. Na szczęście do wsi było już niedaleko. Opatrzność czuwała, wróciłam szczęśliwie. Dowiedziałam się po powrocie, że gospodyni, która odmówiła mi wtedy chleba nie ma teraz mąki, aby upiec chleb bo jej zboże w młynie, a mąż nie może teraz po zmielone zboże po-

jechać. Poszłam i zniosłam jej mąkę by mogła upiec chleb dla swej rodziny. Była trochę zawstydzona ale nie jestem pewna, czy zrozumiała swoisty rodzaj zemsty. A przecież trzeba było sporo bezczelności powiedzieć, że się nie ma chleba, gdy cały dom był pełen zapachu świeżo upieczonego chleba. No więc mieszkało nas wspólnie siedem osób z tym, że Janeczka po całych dniach kursowała. Jaj dzieci żywiły się razem z moimi, raz bardziej syto raz głodno, czasem był chleb jak Tadzikowi udało się go zdobyć, czasem była zacierka na wodzie, okraszona nawet słoniną, jeśli udało mi się dostać zamówienie na szycie lub Janka coś przytaszczyła za swoje wróżby. Jakie to było szycie bez maszyny, zgrabiałymi z zimna rękami nie trudno sobie wyobrazić. Raz dostałam do przeróbki żakiet z wełny, czarny od ślubu rodziców. Przerobić należało na córkę, znacznie niższą i szczuplejszą. Materiał był piękny i drogi. Mój Boże! Jak drżałam aby nie zepsuć roboty. Ale jak zawsze przez całe te lata Boża opieka była z nami i przeróbka udała się ku zadowoleniu klientki. Dostaliśmy wtedy spory kawał słoniny, trochę domowego jakże upragnionego chleba i parę rubli na dodatek. W czasie zimy dzieci prawie nie wychodziły na dwór, a często nawet z łóżek. Janki dzieciaki siedziały na piecu w kuchni, gdzie po napaleniu rano było stosunkowo najcieplej. Czasem gramoliły się do nich i moje pociechy, co było możliwe dzięki temu, że piece rosyjskie w kuchni są obszerne, budowane jak nasze piece chlebowe. Gotuje się tam w piecu wewnątrz i dlatego miejsce na piecu jest ciepłe. Piece te są zresztą przeznaczone również do spania. Spi na takim piecu czasem cała rodzina, złożona nawet z czterech osób.

Warunki były coraz trudniejsze i głodniejsze. Postanowiliśmy z Tadeuszem starać się o pozwolenie przeniesienia się do Pawłodaru, gdzie ja mogłabym dostać pracę, a dzieci

poszłyby do przedszkola. Wybrałam się do Pawłodaru do NKWD. Wyjaśniłam, że mam na wsi rybackiej troje głodujących dzieci, że brat mój pracuje w Pawłodarze i że łatwiej nam będzie razem utrzymać rodzinę. Powiedziano mi, że Tadeusza przenieśli do miasta dlatego, że jest kawalerem a mnie chętnie pomogą zabierając dzieci do "przyjutu" NKWD, gdzie będą syte i ubrane i będzie im bardzo dobrze. Trzeba było się zdobyć na dyplomatyczną odpowiedź. Powiedziałam więc, że mam dwadzieścia sześć lat, mogę pracować i nie ma potrzeby obarczać moimi dziećmi państwa. Trudno - odpowiedziano. Wyszłam i zrozpaczona wracałam do Rybaki. Dzieci zastałam w łóżkach a przy łóżku stała miseczka ze śniegiem, którym od czasu do czasu pożywiały się. Zaczęłam je obłudnie namawiać na pójście do sierocińca, gdzie będą syte, będą miały owoce i zabawki ale oświadczyły, że wolą być głodne ale z mamusią. W sionce na szczęście był jeszcze pewien zapas "kugi". Ugotowałam więc postnej zacierki na wodzie, skromnie, bo mąka już się prawie kończyła ale zawsze coś ciepłego napełniło głodne brzuszki. Zaczęłam już po prostu żebrać albo o jakieś zamówienie albo wprost o trochę jakiegoś ciepłego posiłku np. trochę zupy. Byliśmy wszyscy już wychudzeni. Dzieci wyrastały z zabranej odzieży a płaszcze zimowe dobre na polski mróz okazały się za mało ciepłe. Tadeuszowi udało się na bazarze ze starą odzieżą kupić dla mnie watowaną kufajkę, watowane spodnie i pimy /wojłokowe buty/. Mogłam się więc poruszać na mrozie, a przecież musiałam zdobywać przede wszystkim opał. Po jakichś dwóch tygodniach Tadeusz zawiadomił nas, że wezwano go do NKWD i polecono by w cieplejszy dzień wziąć od "uprawlajuszcze-go" pod wodę i przewieźć siostrę z dziećmi do miasta. Podobno podobało im się, że nie byłam nahalna. Mieszkanie musimy sobie znaleźć sami, o pracę też musimy się postarać.

#### 4. Pawłodar

Tadeusz w Pawłodarze mieszkał w domu dwóch starych, siwych sióstr Rosjanek, bardzo życzliwym Polakom. Siostra ich była żoną Polaka, właściciela fabryki "Hanka" w Krotoszynie. Było to bardzo udane małżeństwo i może dlatego miały sympatię do Polaków. Ciocia Lipa zajmowała się domem a ciocia Szura była pielęgniarką w szpitalu i przychodni. Obie zgodziły się by Tadeusz przywiózł nas narazie póki nie znajdziemy mieszkania. Mieszkanie ich składało się z dużego pokoju i dużej kuchni, w której mieszkał Tadeusz. Nas umieściły ze sobą w pokoju. W kuchni oprócz Tadeusza często nocowało pokotem sporo Białaków, gdy warunki zmusiły ich do pozostania na noc w mieście. "Ciocia" Szura namawiała mnie bym zaczęła pracować w służbie zdrowia jako tzw. siostra obchodna. Jest to pielęgniarka, która udziela pomocy zabiegowej chorym w domu i robi sprawozdania z warunków sanitarnych i zdrowotnych mieszkańców odwiedzanych mieszkań. Powiedziałam jej, że nie umiem pisać po rosyjsku ale oświadczyła, że nie wolno mi się do tego przyznać gdy będę się starała o pracę, a nauczyć się koniecznie muszę i ona mi w tym pomoże. Ponieważ aby starać się o pracę trzeba było napisać podanie /oczywiście po rosyjsku/, więc to podanie ona napisała. Przyjęto mnie i narazie dziećmi zajęła się "ciocia" Lipa. Były to naprawdę niezwykle dobre i serdeczne kobiety. Po prostu prawdziwi ludzie przez duże "L". Po pracy "ciocia" Szura uczyła mnie pisania po rosyjsku. Na razie żywiły nas, do pierwszej pensji i puki się nie usamodzielnię. Tadeusz chciał płacić za wyżywienie ale powiedziały, że pieniądze będą potrzebne na odzież dla dzieci jak pójdą do przedszkola. Przez cały czas nie spotykałam takiej życzliwości u nikogo z Polaków. Stosunkowo prędko opanowałam język rosyjski w piśmie i zaczęłam sama pisać sprawozdania. Zaczęłam też szukać mieszkania nie chcąc nadużywać gościnności przezacnych niewiast. Znalazłam mieszkanie, a właściwie pokój z możliwością używania kuchni.

W drugim pokoju mieszkała właścicielka z synkiem i siostrą. Mąż jej był na froncie. Po jakimś czasie, po uzyskaniu pozwolenia, przyjechała Zosia Lenartowa z Darkiem i Gienią, którą wypuszczono z Karagandy w dość opłakanym stanie. Ze zdrowej, wesołej kobiety pozostał cień. Warunki znacznie się poprawiły. Zarabiałam, dzieci poszły do przedszkola, nie były więc już przynajmniej głodne. Brakowało jeszcze dla nich odzieży. Zaczęłam pracować dodatkowo w poliklinice na oddziale pasożytniczym. Pobierałam próby moczu i kału, zakładałam sączi do badania wątroby, robiłam płukania żołądka i pobierałam próby na robaczywość dzieciom szkolnym i przedszkolnym. Na drugiej zmianie odwiedzałam nadal mieszkania, zwłaszcza tam gdzie były dzieci i tak nie było mnie w domu przez cały prawie dzień. Ale dzieci już się nieco po długim głodzie poprawiły, mieliśmy pieniądze a do zimy było daleko. Po pewnym czasie zauważyłam, że dzieci przebywając w przedszkolu z dziećmi rosyjskimi zaczynają używać nawet w stosunku do nas języka rosyjskiego. Porzuciłam więc pracę w szpitalu i zgłosiłam się do zakładów maszynowo-traktorowych i zaczęłam pracować w ślusarni. Nacinałam gwinty w śrubach. Tadeusz pracował w tych zakładach w kuźni jako "małotobojec". Po jakimś czasie i ja zgłosiłam się do kuźni, ponieważ tam był większy przydział chleba i dawano mleko, tak potrzebne dla dzieci. Pracowałam parę dni. Szło mi zupełnie dobrze, gdy robiliśmy drobne przedmioty jak np. gwoździe, kiedy trzeba było tylko paru uderzeń młota. Ale kiedy zaczęliśmy wykuwać prowadnice do wozów /do dyszla/ i obręcze do kół przeliczyłam się ze swoimi siłami i mięśnie w ramionach nadwyrężyły się i groziły zerwaniem. Tadeusz zakończył moją zmianę, a mnie przeniesiono do "dierawo-obdziałoczni", działu obróbki drzewa. Tam poznałam pół-Polaka inżyniera Aleksandra Setnimskiego, który był moim kierownikiem. Pozwalał mi zabierać do palenia w kuchni wióry i nie przydatne do obróbki małe

kawałki drzewa. Dał mi przepustkę abym mogła przechodzić z workiem na plecach przez dyżurkę. Miał podobnie jak ja troje dzieci, o których zarówno jak i o żonie nic nie wiedział. Wysłano go, jako kierownika pociągu jadącego do Kazachstanu i nawet nie miał czasu pożegnać rodziny. Postanowił pomagać jakiejś rodzinie z dziećmi. No i pomagał nam. Nauczył mnie pracować przy elektrycznym heblu i cyrkularnej pile. Przygotowywałam z surowego drzewa materiał do ręcznej obróbki dla kobiet siedzących przy małych strugach i robiących szprychy do kół i kosiaki /są to części koła, w których na obwodzie umieszczane są szprychy siedzące w drewnianej osi/. Do mojego "stanka" /warsztatu/ nie wolno było nikomu podchodzić, tylko mnie i pracownikowi z drugiej zmiany. Jak pisałam, przygotowywałam materiał dla pracujących Polek i Rosjanek. Polki uważały, że powinnam je wyróżniać i dawać im więcej sztuk a ja uważałam, że Rosjanki, których mężowie byli na froncie i też miały dzieci, powinny być traktowane jednakowo. Pewnego razu, zanim podeszłam do maszyny po przerwie obiadowej, jedna z Polek /ta, której niemowle wyrzuceno z pociągu/ chciała sobie sama przygotować chociaż dwie sztuki. Spieszyła się bardzo świadoma, że robi to czego nie wolno, niestety obcięła sobie dwa palce. Praca na pile cyrkularnej jest bardzo niebezpieczna, zwłaszcza gdy drzewo jest surowe, więc kierownik kazał mi zrobić obudowę, aby ręka nie mogła się dostać pod pilę. Na tym moim warsztacie miał jeszcze wypadek młody Żyd z Białegostoku. Był on mechanikiem i miał obowiązek dbać, aby noże mojego struga były zawsze ostre. Pewnego dnia dobrze je naostrzył i na oko ustawił na odpowiednią grubość strużyn. Niestety, kiedy włączył warsztat i poprowadził kawałek drzewa dla sprawdzenia, nóż odrzucił ten kawałek, w którym okazało się że był sęk i było bardzo surowe i ręka opadła na nóż, który ściał mu wewnętrzną część dłoni. Mój zmiennik Rosjanin też stracił



dwa palce. Było to tuż przed przerwą, "disel" zatrzymał maszynę i proszę sobie wyobrazić, że mój Rosjanin owinał rękę kawałkiem brudnej szmaty i spokojnie zabrał się do spożywania posiłku. Potem dopiero pogrzebał w wiórach, znalazł swoje palce i poszedł do ambulatorium zakładowego. Nie miał nawet zakażenia, ale pozostał kaleką. Mnie jak zawsze strzegła Opatrzność Boża. Pracowałam z dużym spokojem, uważnie i bez zdenerwowania. Dzieci były w przedszkolu, a więc pod opieką i nie miałam powodu do zdenerwowania, a spokój przy tego rodzaju pracy poprostu był konieczny. Wyrabiałam bardzo wysoką normę, no i jakoś żyło się dość znośnie.

Po wybuchu wojny z Niemcami, tzn. po wypowiedzeniu wojny Związkowi Radzieckiemu i po układach Stalina z Sikorskim, Polacy zaciągali się do polskiej armii. Poszedł wtedy też Tadeusz. Już z miejsca zgrupowania pisał do mnie, że mogłabym dostać się do pomocniczej służby kobiet, a dzieci byłyby w wojskowym przedszkolu. Zaznaczył jednak, że panuje tam tyfus i plagą są tarantule. Nie zdecydowałam się jechać tam, gdzie panowała zaraza. Wiedziałam, że nie mogłabym sobie darować mojej decyzji, gdybym przez nią miała stracić któreś z dzieci. Wolałam pozostać na miejscu i zdać się na Wolę Bożą. Tyle już razy okazało się, że to jest najszluszniejsze. Nawet nasz, zdawałoby się tragiczny wywóz z Tarnopola, uchronił nas od śmierci z rąk Ukraińców, którzy rodziny oficerów zarzynali bez litości. Zaczęłam dostawać na siebie i dzieci stałą zapomogę wojskową, która obok mojej pracy pozwalała nam żyć a nawet kupić coś ciepłego na zbliżającą się zimę. Po pewnym czasie Zosię Lenartową zabrał do siebie mąż, który będąc w wojsku spotkał się z Tadeuszem i dowiedział się o jej miejscu pobytu. Na jej miejscu zamieszkała z nami Maria Sławińska, która miała

dwoje dzieci. Cały ciężar opalania mieszkania spadał na mnie. Ona była wątłą, drobną kobieciną zawsze załęczoną. Zaczęłam systematycznie podkraść z zakładu miał węglowy. Idąc do pracy zabierałam jakąś zupę czy kaszę, a wracając ładowałam do tego naczynia /staralam się by było jak największe/ miał węglowy. Strażnik na bramie wiedział, że noszę sobie posiłek i nie rewidował mnie. Nie wystarczało to, musiałam z siekierką za pasem przechodzić przez rzekę - Pawłodar leży nad rzeką Irtysz - po łodzi i ciąć na drugim brzegu rosnącą tam łozinę, przywożąc ją przywiązaną do saneczek do domu. W końcu zaczęłam podbierać większe sztuki drzewa brzoźowego, stanowiące materiał do obróbki. Chodziłam w dużej chustce przełożonej przez piersi, na których była sfalowana. Zmarznięte drzewo wsuwałam w spodnie prawie na gołe ciało, przewiązywałam pasem i maskowałam chustką. Jakoś nigdy mnie nie rewidowano. Spokojnie w portierni zagadywałam strażnika o zdrowie rodziny i wychodziłam z takim "pakunkiem".

Jest rok 1942. Jeszcze Pawłodar. Jestem sama z dziećmi. Tadeusz wyjechał już do Armii Polskiej i czuję się trochę samotnie. Jego obecność była jednak dla mnie dużym oparciem psychicznym. Dzieci zaopatrzyłam już w najbardziej potrzebną odzież. Mimo bardzo trudnych warunków, jeśli mowa zwłaszcza o wyżywieniu, dzieci jednak rosły. Odzież, którą zabraliśmy z Polski - w ogromnym pośpiechu i pod kontrolą - nie bardzo nadawała się w tutejszych warunkach klimatycznych, a do tego była już bardzo zniszczona. Tę lepszą trzeba było wymieniać na żywność, a przecież nie wiedzieliśmy jak długo potrwa wojna a z nią nasze wygnanie. Okazało się potem, że wojna już się skończyła, a nas nadal trzymano w Kazachstanie. Byliśmy widać dobrą i tanią siłą roboczą. Zarabiałam nieźle. Wyrabiałam 200 a nawet 300 % normy.

### 5. Żelezianka.

Miałam trochę znajomych i przyjaciół, głównie wśród Rosjan z zakładu pracy, życzliwych zwierzchników. Była to więc pewnego rodzaju stabilizacja, jeśli można to tak nazwać w tych warunkach. No i były "ciocie" Szura i Lipa, o których życzliwości i pomocy w ciężkich początkach po naszym przybyciu do Pawłodaru już pisałam. Wobec tego władze sowieckie uznały, że najwyższy już czas na nowe szykany i przesiedlenia. Przesiedlono nas na północ do sowchozu im. Kirowa w rejonie Żelezianki. Znajduje się <sup>ona</sup> już chyba w omskiej, a może jeszcze w pawłodarskiej obłasti /dokładnie nie wiem/. Przy przesiedlaniu uważano bardzo, żeby przesiedlani ludzie nie byli ze sobą zżyci a nawet znajomi. Pochodzili z różnych kresowych miast w Polsce, a na wygnaniu pracowali w różnych kołchozach i sowchozach. Środowisko było bardzo zróżnicowane pod względem narodowościowym, intelektualnym i zawodowym. Nic więc dziwnego, że poczułam się zagubiona, mając trójkę dzieci w wieku od 5 do 7 i pół roku i wielką za nie odpowiedzialność. Żadnego oparcia o jakąś życzliwą osobę, grupę czy rodzinę. Od Tadeusza nie było już żadnych listów. Tutaj musieliśmy się dopiero poznawać, a w tych warunkach łatwiej było o nieufność niż o zaufanie. Trzeba je będzie dopiero powoli zdobywać. Dla liczniejszych rodzin - a do takich należeliśmy i my - przydzielono wspólny barak. I zaczęło się nowe życie, które niebawem przerodziło się w koszmar. Było sporo dzieci i sporo starszych, a nawet w podeszłym wieku osób, którym żywe i nie mające co z sobą zrobić dzieci bardzo przeszkadzały. Po powrocie z pracy skarg było bardzo dużo. Nigdy nie było wiadomo czyje dziecko było winne, czyje gorsze, a które lepsze. W ogóle w baraku panowała typowo polska niezgoda. To skłoniło mnie do wynajęcia dla mojej rodziny, prywatnej kwatery. Znaleźliśmy - za pomoc przy gospodarstwie - miejsce we wspólnej izbie u Rosjanki, której mąż poszedł do Armii Czerwonej i narazie nie miała od niego żadnych wiadomości. Podobnie jak ja

miała troje nieletnich dzieci.

Była wczesna wiosna. Zwierzchnik sowchozu zgodził się na wydzielenie z gruntów sowchozowych kawałka ziemi, na założenie dla nas małego ogródka. Zatrudniono mnie jako wozowodę. Miałam wozić wodę do podlewania ogrodów sowchozowych. Miałam więc wodę i dla podlania naszego ogródka. Siłą pociągową w sowchozie były woły. Musiałam raniuteńko pójść na dość odległe pastwisko, by złapać i przyprowadzić woły i następnie zaprządz je do drabiniastego wozu z beczkami na wodę. Po przywiezieniu wody z odległej studni, musiałam z pomocą kilku ogrodników podlać ogrody będące własnością sowchozu. W czasie suszy trzeba było jeździć po wodę dwa lub więcej razy. Do podlewania naszego ogródka musiałam donosić wodę pożyczonym wiadrem, ponieważ tam dla zaprzęgu nie było drogi. Początkowo bardzo bałam się wołów. Były dość dzikie i trudne do zaprzęgania, a ja przecież nie miałam żadnego doświadczenia przy obsłudze tych zwierząt. Dodatkową trudnością było kierowanie wołami, gdy obsiadły je "gzy". Są to wielkie baki, bardzo łase na byczą krew, więc z upodobaniem obsiadały bycze zady tnąc niemilosierdzie. Wtedy byki zaczynały szaleć i prawie nie było sposobu by je pokromić. Napewno trzeba było mieć o wiele więcej siły niż moja. Praca ta nadawała się raczej dla mężczyzn, ale cóż. Mężczyźni poszli do wojska, a poza tym praca pomagała mi w utrzymaniu ogrodu. Gdy "gzy" obsiadły byki, te pędziły na oślep chcąc się uwolnić od dokuczliwych owadów. Praca dla mnie była bardzo ciężka i nie bardzo bezpieczna. Zdarzyło się, że rozpędzone byki najechały na chatę urywając cały jej narożnik. Całe szczęście, że naprawienie takiej glinianej chaty nie stanowiło zbyt wielkiego problemu. Kiedyś Tytus, mój najmłodszy syn, uprosił mnie aby go zabrać ze sobą. Usiadł obok mnie i pojechaliśmy po wodę. W pewnym momencie oszalałe od ukąszeń byki skręciły gwałtownie i Tytus spadł z wozu niemal pod racice. Na szczęście

znalazł się między kołami szerokiego wozu ale i on i ja najedliśmy się strachu niemało. Jak zawsze czuwała Boża Opatrzność.

Latem 1942 roku wybuchła w sowchozie epidemia krwawej biegunki. Nie było rosyjskiego domu, w którym by nie chorowały przede wszystkim dzieci. Umierało jedno, a nawet dwoje w rodzinie. U mojej gospodyni z trojga pozostało jedno, najstarsze. Mimo, że przyjechała ekipa lekarska i mimo, że poddano wszystkich szczepieniu epidemia nie wygasła. Podejrzewam, że był to skutek braku igieł i niezbyt staranna sterylizacja. Ciekawe było, że nie chorowało ciężko ani nie zmarło żadne polskie dziecko. Może mimo ciężkich warunków miały silniejsze organizmy. Pracowałam teraz w przedszkolu - żłobku. Nazywam tak tę placówkę, ponieważ znajdowały się w nim dzieci w wieku od półtora do siedmiu lat. Najtrudniejsza była praca przy wyprowadzaniu dzieci na spacer. Niedaleko był las i rosnące w nim jagody zwabiały dzieci do ich zrywania. Rozbiegały się po lesie starsze a ja musiałam prowadzić młodsze, które nie nadążały za towarzyszącymi. Najmniejsze trzeba było zostawiać w pobliżu żłobka pod opieką mojej pomocnicy Rosjanki Gruni. Zwołać po spacerze i zgromadzić je wszystkie nie było wcale łatwe. Pomagała mi w tym moja córka Marysia, która w listopadzie kończyła osiem lat. Narazie pozwolono jej jeszcze - może dlatego, że tam pracowałam - chodzić do przedszkola, nie groził jej więc całkowity głód. Wyżywienie dzieci w przedszkolu było dalece niewystarczające i jednostronne. Chleb, mleko, czasem kasza ze zmielonej na żarnach pszenicy, jakaś chuda zupa to w zasadzie wszystko. W okresie gdy dojrzewały jagody, poziomki, nieznanne mi leśne truskawki i grzyby, wyżywienie było bardziej urozmaicone, a przede wszystkim te jagody były źródłem witamin, chociaż bardzo skromnym.

Zgroza ogarniała mnie, gdy dzieci - oczywiście wszystkie - musiały po posiłku dziękować w ten sposób. Głośno, wyraźnie, radośnie "spasibo wielikomu Stalinu za nasze szczęśliwe dzieciństwo". Gdy słuchało się tych słów pękało serce. Liczba dzieci w przedszkolu po epidemii zmniejszyła się i pracowałam teraz sama. Grunię odesłano do innej pracy. W jesieni mieliśmy z ogródka trochę warzyw. Mieliśmy też - co jest bardzo ważne - bardzo życzliwą przyjaciółkę Rosjanek, którą w sowchozie nazywano "babuszką Rozumową". Rozum, to było nazwisko jej męża, który był ekonomem sowchozu. Babuszka, mimo że tak ją nazywano wcale nie była babuszką. Nie miała wnuków ani nawet dzieci. Nie miała też chyba więcej niż pięćdziesiąt lat. W młodości przedźwigała się przy podawaniu snopów na wóz i uszkodzenie kręgosłupa i innych narządów kobiecych spowodowały bezpłodność. A dzieci bardzo kochała i one też lgnęły do niej. W tym czasie, w naszym sowchozie oprócz Polaków byli przesiedleni Grecy i Niemcy z nad Wołgi. Nie wiem czemu, ale greckie dzieci nie lubiły naszych dzieci i potrafiły być nawet okrutne. Kiedyś podczas gdy byłam w pracy zajęta najmniejszymi dziećmi, starsi greccy chłopcy złapali moje dzieciaki i pobili je dotkliwie, a po powalonych na ziemię zaczęli deptać. Uratowała je babuszka Rozumowa. Ona ze względu na stan swego zdrowia nie pracowała dla sowchozu i w zasadzie nie oddalała się od swojej zagrody. Zauważyła jednak jakiś ruch i usłyszawszy dziecięce głosy wołające o pomoc, pospieszyła i przegoniła napastników. Inni sowchoźnicy byli w pracy i nie wiem co by się stało z dziećmi bez jej interwencji. Ta dobra, miła kobieta zaproponowała mi, abym idąc do pracy przynosiła do niej nasz czugun z przygotowanymi produktami - najczęściej były to postne grzyby i trochę jarzyn - a ona ugotuje nam posiłek na kolację w swoim piecu przy okazji sporządzania posiłku dla siebie i męża. Dzieliła się też z nami przydziałowym chlebem,

wiedząc, że nasz przydział nam nie wystarczał. Mój przydział roboczy wynosił 500 gramów bardzo ciężkiego - bo z dużą domieszką jęczmienia - chleba, zaś dzieci otrzymywały "pajok" rodzinny wynoszący 200 gramów. Babuszka z tytułu stanowiska jej męża otrzymywała przydział zboża i piekła chleb w domu. Miała też spory ogród, jedną krowę i parę baranków. Do gotowanych dla nas grzybów zawsze wsuwała trochę omasty i następnego dnia pytała "czy smakowało". Robiła to w głębokiej tajemnicy przed mężem, bo zostałaby pobita. On był bardzo niedobry dla niej /może zawiedziony brakiem potomka/. Bała się go, a mimo to narażając się pomagała nam. Nie spotkałam takiego objawu życzliwości wśród Polaków ani w Pawłodarze, ani w obecnym miejscu pobytu. Po prostu każdy dbał tylko o siebie i raczej ukrywano przed innymi wiadomości o możliwości zdobycia żywności czy to za pieniądze czy na wymianę. Nie stanowiliśmy jakiegś zwartej grupy ani pod względem intelektualnym ani pod względem przynależności terytorialnej. Pisałam już o tym gdy przy przesiedleniu zaznaczałam, że władzom zależało na tym abyśmy się nie znali. W tej grupie ja jedna tylko byłam z Tarnopola.

## 6. Ziemianka.

Ponieważ nie było wiadomo jak długo będziemy żyć na wygnaniu, a stosunki z moją gospodynią układały się nie-najlepiej, podjęłam szalony pomysł wybudowania dla siebie i rodziny chaty "ziemianka". Przydzielono mi teren na końcu wsi pod lasem. Pozwolono nam na czas wakacji mieszkać w pustej szkole. Pracowałam nadal w przedszkolu. Zaczęłam kopać dół na ziemiankę, rozmiaru 4 x 4 metry. Głębokość przy ścianach powinna wynosić 2 do 2,20 metrów. Narazie nie trapiłam się jak będzie z pokryciem, ponieważ uważałam, że będzie dobrze jeśli uda mi się wykopać do zimy cały dół. Kopałam po pracy, co było konieczne

z uwagi na to, że musiałam pracować, a poza tym w ciągu dnia była zbyt wysoka temperatura dla tak ciężkiej pracy. Wczesnym wieczorem mniej się męczyłam, ale okropnie cięży mnie komary a pracowałam rozebrana niemal jak na plaży. Trzeba się było spieszyć, bo ziemia szybko wysychała i tobiła się coraz twardsza. W końcu pozostał mi w rogu do sforsowania kawał ziemi., niemal kwadratowy o wymiarach około 1,5 metra, tak twardy, że chyba tylko łom mógłby go rozkruszyć. Ale nie miałam łomu, a nade wszystko siły, aby przy pomocy niego pracować. I wtedy zaświałała mi myśl, że będzie to świetna podmúrówka pod piec, a w związku z tym mniej będę musiała zrobić cegieł. W jesieni, gdy rozpoczęły się zajęcia w szkole, musieliśmy poszukać sobie nowego mieszkania. Muszę dodać, że byłam jedyną osobą, która porwała się na budowę własnej chaty, chociaż była nią tylko ziemianka, a byli mężczyźni w niektórych rodzinach. Zamieszkaliśmy na drugim końcu sowchozu u wdowy nazwiskiem Kaczanowska. Miała ona również jak moja poprzednia gospodyni troje dzieci, tyle że od tamtych starsze. Najstarszy syn był już w Krasnej Armii, drugi miał dwanaście lat a córka dziesięć. Matka pracowała jako stróż ziarna zsypanego w przymy, daleko poza terenem zamieszkanym wsi. Stróżówką była mała wiata. Samotna w stepie, została zgwałcona przez przewodniczącego i w czasie gdy się do nich wprowadziliśmy była w wysokiej ciąży, tuż przed rozwiązaniem. Dzieci jej odnosiły się do niej z jawną okrutną pogardą. Dziecko urodziło się w oborze raniutko. Nie wiem czy miała jakąś kobietę do pomocy przy porodzie, dowiedziałam się bowiem o nim dopiero, gdy przyniosła dziecko do izby. Wiem natomiast, że żadne z dzieci nie pomogło jej przy rannym obrządku i biedna kobieta poszła po wodę by napoić bydło. Dziecko w tym czasie leżało jeszcze w oborze. Widząc ją dźwigającą wiadro z wodą nie przypuszczałam, że to już po porodzie. Dzieci jej pluły na noworodka, obiecując matce, że gdy Wania z wojska powróci to ją i dziecko zabije.



Domagały się też aby im usługiwała, chłopak siedząc rozparty przy stole wrzeszczał, aby mu podała łyżkę, bo mu się nie chce wstać. Były to bardzo okrutne dzieci, choć na tyle duże aby rozumieć, że matka sama w stepie nie miała żadnych szans wobec zwierchnika gwałciciela. Dziecko było bardzo słabe i niedożyło nawet tygodnia. Zachorowała córka gospodyni na ciężkie zapalenie płuc. Ratowałam ją i przy pomocy Opatrzności uratowałam stosując cięte bańki, choć z okropnym Lękiem, bo w życiu nie stawiałam nawet zwykłych baniek.

W Pawłodarze pracowałam co prawda w szpitalu ale na oddziale pasożytniczym, a nawet jako siostrze tzw. domowej nie zdarzyło mi się stawiać baniek. O tym, że w tym wypadku potrzebne są cięte bańki powiedziały mi starsze Rosjanki, objaśniły jak to trzeba robić ale same nie miały odwagi. Dziewczynka Bogu dzięki wyzdrowiała. Kamień spadł mi z serca. Aż do wyzdrowienia byłam pełna lęku, ale Pan Bóg czuwał. Ten przypadek wpłynął bardzo dodatnio na stosunek gospodyni do nas. Moje dzieci od tamtej pory dostawały od niej rano mleko i to prosto od krowy. Bardzo było im potrzebne, a nie zawsze można je było kupić i nie zawsze było za co.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Już trzecie poza Ojczyzną. Pomimo małego zżycia postanowili Polacy - w tym dniu zgodnie - by złożyć życzenia świąteczne wszystkim mieszkańcom sowchozu, zatrzymując się przed chatami i śpiewając kolędy. Piękne polskie kolędy zostały ze wzruszeniem przyjęte. Mróz był siarczysty. Opatulone w koce dzieciaki ciągnęłam na wynajętych saniach. Nastrój był rzeczywiście podniosły. Na wielu twarzach Rosjanek błyszcząły łzy.

Wzruszeni byli nawet ich mężowie i synowie. Minęły święta, lecz nocna kolędowa eskapada zakończyła się dla moich dwojga dzieci zapaleniem płuc. Wkrótce dołączył się tyfus brzuszny, a u Marysi dodatkowa malaria. Marek narazie nie zachorował. Nie było lekarza ani lekarstw. Przysłane nam uprzednio przez Tadeusza z wojska lekarstwa już się skoń-

czyły zwłaszcza, że nie zachowywałam ich tylko dla siebie, gdy ktoś był potrzebujący. Tak na przykład mój streptacid uratował małego synka Gruni, Rosjanki, która przez pewien czas pracowała ze mną w przedszkolu. Obecnie pozostały nam tylko bańki i kamizelka z baraniego sadła, którą przez wykrojoną w nim dziurę nakładało się na piersi i plecy. Drugim lekarstwem była nafta, którą wcierało się w podeszwy stóp i w wewnętrzną część dłoni. Ze wstydem przyznaję, że poprosiłam nawet babkę uzdrowiaczkę, która modliła się nad żarządy węgielkami przy posłaniach dzieci a następnie topiła te węgielki w misce z wodą. Najlepszy Bóg Ojciec chciał zesłać na nas to doświadczenie, ale niezłomna wiara w Jego miłość i dobroć i gorąca modlitwa całej naszej rodziny doprowadziła do przesilenia się choroby. Marysia przypominała szkielet ż narzuconą na niego brudną płachtą-skórą. Tytus już wcześniej powracał do zdrowia. Bądź co bądź nie miał malarii a tylko /bagatela/ tyfus i zapalenie płuc. W czasie choroby był tak słaby, że nie mógł samodzielnie podnieść ręki. Narazie Marek i ja chodziliśmy zdrowi i nic nie wskazywało, że teraz kolej na nas. Luty 1943r. Po przesileniu choroby u Marysi zachorowaliśmy oboje z Markiem na tyfus. Ponieważ nie było komu się nami opiekować, zabrano nas do rejonowego szpitala w Zelezience, położonej 60 km od sowchozu. Wycieńczone chorobą dzieci pozostały same. Mieliśmy w skrzyni mąkę zakupioną na zimę. Mleko miała dostarczać nadal gospodyni, a Polki mieszkające w baraku, z którymi się już zaprzyjaźniłam podjęły się przynosić dzieciom posiłki i wmiarę możliwości roztoczyć nad nimi opiekę. Panie, które podjęły się opieki nazywały się Ostrowskie. Spotkamy się jeszcze z nimi w dalszej części. Ja opiekę nad pozostawionymi dziećmi jak zawsze powierzyłam Miłosiernej Opatrzności Bożej. Nigdy do tej pory mnie ta Miłość nie zawiodła. Zima była bardzo ostra. Do szpitala wiozła nas na saniach zaprzężonych w jednego konia Gruni. Nazwiska jej chyba nie

znałam, chociaż ze mną pracowała. Do szpitala jechaliśmy w trójkę, było nam więc raźniej. Nie wiem jak ona potem wracała sama taki szmat drogi przez pusty step. Po dotarciu do szpitala spotkało mnie ogromne zaskoczenie. Lekarz ordynator /chyba jedyny lekarz, bo innych przez cały czas nie widziałam/, starszy człowiek, Żyd usłyszawszy moje nazwisko powiedział, że kpt. Tomczyński leżał u niego w lazarecie na buchcie Nugajewa na Dalnymwostoku w trudolagrach. On sam jako zesłaniec pełnił tam obowiązki lekarza obozowego. Poprosiłam przez Grunię aby Marysia przysłała fotografię tatusia. Po jej nadesłaniu lekarz stwierdził, że jest to ten sam człowiek. Poznaje go, choć był bardzo wyniszczony ciężką pracą, mrozami północy i chorobą. Dodał, że był z nim rotmistrz Zaleski /imienia nie pamiętał/. Z panią Zaleską spotkałam się w Pawłodarze, ale po utworzeniu Armii Polskiej przez Andersa, wyjechała ona wezwana przez męża do miejsca zgrupowania naszych wojsk. Lekarz mój, wił, że obaj otrzymali zaświadczenia-przepustki, pewną sumę pieniędzy /zdaje się, że 400 rubli/ i wyjechali ale nie wiedział dokąd. Okazało się, że rotmistrz Zaleski trafił do wojska. Natomiast mój mąż do wojska nie dotarł, bo gdyby tak było to spotkałby się z moim bratem Tadeuszem, który był już w wojsku. Może to właśnie Tadeusz udzielił rotmistrzowi Zaleskiemu informacji o miejscu pobytu jego żony. Wiedział bowiem, że jest w Pawłodarze. Dlaczego nie zgadali się o moim mężu pozostanie dla mnie tajemnicą. Może mój mąż bardzo wyczerpany po więzieniu i chorobie nie był w stanie wytrzymać wielkich trudów dalekiej drogi z półwyspu czukuckiego do Kazachstanu i musiał się gdzieś zatrzymać. Po latach mój brat Tadeusz pisał z Włoch<sup>do Matki</sup>, że spodziewa się uzyskać wiadomości o moim mężu. Niestety zanim zdążył je otrzymać zginął pod Ankoną i został pochowany na cmentarzu wojskowym w Loreto. Pisałam po wojnie do Genewy do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i odpowiedziano mi, że kpt. J. Tomczyński figuruje na ich listach jako zaginiony w Starobielsku. Więcej

wiadomości o moim mężu nie miałam. W styczniu br. przeczytałam w książce Anatola Krakowieckiego pod tytułem "Książka o Kołymie" na jego przepustce, że бухта Nugajewa była właśnie na Kołymie. Nie mogę się od tej pory oprzeć przypuszczeniu, że skoro mój mąż i rotmistrz Zaleski byli na Kołymie a byli w obozie w Starobielsku /o czym wiem napewno/, to może właśnie tam należy szukać i innych oficerów. Może władze sowieckie, znając warunki jakie panowały na Kołymie, z uwagi na straszny klimat, głód i bardzo ciężką pracę postanowiły wykorzystać ich jako siłę roboczą, upodlić i zniszczyć licząc na to, że i tak nie przeżyją. Anatol Krakowiecki pisał o kopalniach złota, w których pracowało kilkanaście tysięcy zesłańców. Mogli więc być wśród nich polscy oficerowie. On z nimi nie miał bezpośredniego kontaktu, mógł więc nie wiedzieć kim byli.

Wracam do pobytu w szpitalu w Zeleziencie. W czasie mojego tam pobytu wyszło zarządzenie rządowe o wydawaniu sowieckich paszportów polskim przesiedleńcom. Kto nie chciał przyjąć paszportu z wpisem o obywatelstwie sowieckim, ten trafiał do więzienia. Wielu przesiedleńców narodowości żydowskiej i ukraińskiej przyjmowało paszporty, wielu Polaków za odmowę przyjęcia zostało aresztowanych i uwięzionych. W tym czasie leżała w jednym pokoju szpitalnym ze mną Marysia Ostrowska z naszego sowchozu. Mieszkała ona w baraku z babką, ciotką, matką, siostrą i jej małym synkiem Wicusiem. Pewnego dnia odwiedziła ją jej siostra Miecia i prosiła, aby Marysia po wyjściu ze szpitala zaopiekowała się jej synkiem, ponieważ jej poczucie patriotyzmu nie pozwala przyjąć paszportu, musi się więc liczyć z pójściem do więzienia /nie pomyślała pewnie, że Marysia też może odmówić/. Włączyłam się do rozmowy i może niepotrzebnie zwróciłam jej uwagę, że jej pierwszym obowiązkiem jest pozostać przy

synku a nie iść do więzienia. Ja sama postanowiłam przyjąć paszport, jeśli mi każą i napewno, gdy będziemy wracać do Polski to otrzymamy nowe dokumenty. Pewność powrotu nie opuszczała mnie ani na chwilę. Narazie mając troje dzieci za które czuję się w pełni odpowiedzialna, muszę przy nich pozostać. Moja odmowa spowodowałaby więzienie i zabranie dzieci do sowieckiego Domu Dziecka i wychowanie ich na komunistów. Do tego dopuścić mi nie wolno. To nie byłoby pożyteczne dla Polski. Jestem Polką i matką i tak rozumiem mój macierzyński i patriotyczny obowiązek. Nie chciała mnie słuchać, nazwała zdrajczynią Ojczyzny i upewniwszy się że Marysia nie opuści Wicusia oburzona na mnie wyszła. Po paru dniach odwiedziła znowu Marysię i przyznała, że przyjęła paszport, ponieważ gdy wyszła ze szpitala usłyszała, nie wiadomo skąd, z powietrza czy z pod ziemi głos Wicusia "Mamusiu" i zrozumiała, co jest jej pierwszym obowiązkiem. Okazała się jednak matką. W szpitalu leżał obok mnie w łóżku syn mój Marek i nieustannie trzymał w rączkach zawieszony na szyjce medalik i modlił się aby mamusi nie zabrali do więzienia. Po powrocie ze szpitala zastałam Marysię i Tytusa po przebyciu tak ciężkich chorób w dobrym zdrowiu i wyglądających jakby wcale nie chorowali. Nie było natomiast prawie wcale mąki, którą zostawiłam w skrzyni. Okazało się, że wygłodniałe i wycieńczone chorobą dzieciaki nie czuły się syte po posiłkach przynoszonych przez Polaków i dożywiały się same, robiąc sobie papkę z surowego mleka i surowej mąki. Tyfus się nie powtórzył. Przeciwnie, ta niezwykła dieta zrobiła dzieciom dobrze. Jestem pewna, że tylko Boża Opatrzność sprawiła, że wyzdrowiały po takiej kuracji.

Wiosną 1943r wróciłam do pracy przy budowie ziemiarki. Trzeba było też uprawiać ogródek, no i przede wszystkim pracować zarobkowo. Nadarzyła się pomyślna okazja do kontynuacji

moich zamierzeń. Przewodniczący Rozum, być może za sprawą "babuszek", chociaż nigdy mi tego nie powiedziała - wyznaczył mi pracę przątaczkę w szkole, z obowiązkiem między innymi zaopatrzenia szkoły w drewno opałowe na zimę. Pracując w lesie i mając do dyspozycji transport, którym zwoziłam drewno do szkoły mogłam i dla siebie zwieźć budulec na krokwie, oczywiście uzyskawszy na to uprzednio pozwolenie. Potrzebowałam też gałęzie na pokrycie dachu i wplecenie sionki koniecznej do osłony w zimie przed śniegiem. W międzyczasie zajęłam się wyrobem cegieł, potrzebnych na zbudowanie pieca ogrzewczo-kuchennego. Przyda się teraz niedokopany narożnik z ubiegłego roku na podmurówkę, o czym już pisałam. Wożę więc nadal drewno dla szkoły i dla siebie. W pobliżu mojej przyszłej chaty, idąc w moje ślady zaczęła kopać ziemiankę rodzina Greków, tak jak my zesłańców. W rodzinie tej był stary prawie dziewięćdziesięcioletni mężczyzna, który zgodził się pomagać mi przy ułożeniu krokwi i dachu z gałęzi, zrobieniu drzwi i wybudowaniu pieca. Miałam mu za to zapłacić butami. Ja po pracy w sowchozie pomagam mu jak mogę. W środku chaty na wkopanych dwóch słupach oparliśmy główną krokiew a następnie oparliśmy po obu stronach na niej gęsto boczne krokwie, których drugie końce opierały się na ziemi, tj. na szczycie bocznych ścian. W tym czasie wyschły już cegły nie wymagające przy wysokiej temperaturze powietrza i przewiewie wypalania w ogniu. Pokrycie dachu uzupełniały gałęzie bardzo gęsto ułożone na krokwiach. Po przysypaniu ich ziemią i pokryciu i wymazaniu gliną, rozrobioną z nawozem i plewami dach był gotowy. Wymagał teraz dobrego wyschnięcia i po nim uzupełnienia szczelin powstałych w czasie schnięcia. Drzwi zrobił i umocował stary Grek. Podjął się też, jak już pisałam wybudowania pieca. Do chaty schodziło się po paru wykopanych schodkach do drzwi, umieszczonych na dole tych schodków. Na przeciwko drzwi w trójkącie powstałym przy układaniu

krokwi należało umieścić okno. Ale najpierw trzeba je było zdobyć. Kupić niestety nie było gdzie, a zrobić nie było z czego, z powodu braku szkła. Musiałam je niestety ukraść nocą z cieletnika. Sądzę, że z uwagi na warunki, w jakich znaleźliśmy się nie z własnej woli został mi ten grzech przebaczony. Aby można było zamieszkać już u siebie trzeba było wyrównać ziemię-podłogę i wymazać ją mieszaniną gliny nawozu i plew i to owsianych. Jakaś blacha imitująca płytę kuchenną znalazła się na złomowisku. Aby ziemia ze ścian nie osypywała się, zostały one umocnione przez pomazanie gliną alabastrową, której złoża w lesie pokazali mi mieszkańcy tam od lat Rosjanie. Wykopaną taką gliną prażyło się na blasze do zupełnego wysuszenia a po rozkruszeniu i zalaniu wodą powstawało coś w rodzaju wapna, z tym że pomazana tą niby farbą ziemia stawała się twarda i nie pękała. Sciana taka była bardzo biała. Oststnią pracą, która musiała być wykonana w jesieni było zrobienie /wyplecenie/ sionki, która miała osłaniać zejście do chaty. Było to konieczne, wręcz nieodzowne, ponieważ miała ona chronić chatę przed zasypaniem śniegiem w zimie, a na wiosnę przed zalaniem przez topniejący śnieg. Trzeba było całą stronę chaty, w której znajdowały się drzwi, ogrodzić. W tym celu wkopywałam pionowo długie na 1,70 m mocne gałęzie i wplatałam w nie giętki chrust i gałązki bardzo gęsto. Tak powstało ogrodzenie z wejściem z boku, w stosunku do wejścia na schodki do chaty. Po wypleceniu sionki trzeba ją było wymazać gliną rozmieszaną z nawozem. W czasie wakacji mieszkaliśmy w szkole, która była położona w środku wsi. Stąd było mi bliżej do pracy i do nowego domu. Obok szkoły znajdowała się kancelaria sowchozowa. Po wakacjach wprowadziliśmy się już do siebie. Mieliśmy jeszcze wciąż dwa łóżeczka dzieciinne z materacami i polowe łóżko również z materacem. A był przecież jeszcze piec zbudowany przez starego Greka na sposób rosyjski, to znaczy można było na nim spać w wypadku bardzo silnych mrozów. Od piąwszej chwili zamieszkania w naszej

ziemlance, zaczęli odwiedzać nas Polacy, mieszkający w baraku aby odpocząć po kłótniach w czystym gronie. Zaprzyjaźniliśmy się z rodziną Ostrowskich. Jak pisałam Marysia Ostrowska leżała ze mną w szpitalu w Zelezience, gdy obie i mój syn Marek chorowaliśmy na tyfus. Teraz ona i siostra jej Miecia przychodziły najczęściej, przyprowadzając małego Wicusia synka Mieci. W naszej chacie, w części gdzie składaliśmy na polowym łóżku ogólną ubogą pościel, był zawieszony na drążku, opartym na dwóch ścianach chaty koc-zasłona. Za nią jak za kurtyną moje dzieciaki przygotowywały występy, to znaczy kolejno lub w duecie wychodziły zza zasłony i recytowały polskie wierszyki a nawet śpiewały piosenki. Starały się recytować a nawet deklamować jak najpiękniej, co było bardzo wzruszające.

Zimą 1943/44 przeżywamy już na własnych śmieciach. Mamy gdzie mieszkać, mamy spokój ale mamy też głód. Brakuje nam rzeczy na wymianę. Ziemniaki z ogródka kończą się choć są wykorzystywane podwójnie. Polegało to na tym, że spożywamy je jako ziemniaki - zresztą postne - a oprócz tego spożywamy też łupiny, myte i przypiekane na blasze. Rozdzielam je sprawiedliwie, to znaczy każdemu równą część grubiej i cieńiej obranych. Ziemniaki syberyjskie mają na skórcie spore wgłębienia, były więc obierzyny grubsze i cieńsze. Bywało, że zabłąkało się do nas jakieś niemieckie dziecko, przesiedlonych z nad Wołgi Niemców. Oczywiście dzieliliśmy się z nim tym co w danej chwili mieliśmy do jedzenia. W zimie nie było dla mnie pracy, nie mieliśmy więc przydziału chleba. Czasem udało mi się coś uszyć ale w naszej grupie były prawdziwe krawcowe, więc im w pierwszym rzędzie zlecano robotę. W styczniu przybiegła do naszej ziemlanki Miecia Dewojno, siostra Marysi Ostrowskiej, matka Wicusia i bardzo wzburzona opowiedziała nam



swój niezwykle sen. Osobiście nie wierzę w sny i nie zajmuję się ich tłumaczeniem. Ten sen był jednak tak niezwykle i jakby proroczy. Oto i on. Miecica z grupą Polaków znajdowała się w jakiejś sali na piętrze. Pod oknami stała spora gromadka Rosjan. W pewnym momencie Miecica zobaczyła ogromny blask na niebie i wyłaniającą się z obłoku postać Najświętszej Panienki. Spytała wtedy obecnych z nią Polaków czy widzą Matkę Boską. Potwierdzili, ogromnie wzruszeni. Przez okno zadała to samo pytanie Rosjanom ale oni zaprzeczyli. Miecica upadła na kolana i z błagalną modlitwą zwróciła się do Maryi Panny: Matko Boska spraw aby zakończyła się wojna i aby nastął pokój. Powiedz Matko kiedy to nastąpi. Postać Matki Bożej zaczęła się rozplýwać, a na niebie pojawiła się wstęga z napisem 23, jakby w odpowiedzi. Miecica opowiedziała ten sen w baraku i przybiegła do nas. Zastanawialiśmy się 23 dnia, którego miesiąca nastąpi koniec wojny. Przytaczam to zdarzenie, ponieważ Miecica zmarła 23 kwietnia 1944r i tak dla niej zakończyła się wojna i nastął pokój. Zachorowała i gdy dowiedziała się, że to tyfus, którego zawsze bardzo się bała, organizm przestał walczyć i trzeba było zostawić ją na zawsze w kazachstańskim stepie. W związku z jej śmiercią opowiem jeszcze drugi sen. Sen jej matki, który spełniał się już w trakcie jego trwania. Miecica leżała w izolatce w lesie. Czuwała przy niej Marysia, jej siostra, która już była po tyfusie. Gdy Miecica umarła, Marysia przybiegła do mnie mimo głębokiej nocy i prosiła abym ja poszła do baraku powiadomić o śmierci Miecici ich matkę, bo ona nie ma siły zanieść jej tej tragicznej wiadomości. Pozostała w chacie z moimi śpiącymi dziećmi, a ja udałam się do baraku. Rodzina Ostrowskich składała się z babci, matki, dwóch córek, szwagierki matki i małego Wicusia. Niedawno zmarła najstarsza z rodziny babcia. Jeszcze nie obeszkły łzy pani Ostrowskiej po śmierci jej matki, a tu spada na nią drugi cios.

Przyszłam do śpiącego baraku przed świtem i wiadomość przekazałam ciotce Mieci. Matka Mieci przebudziła się niedługo po moim przyjściu i z przejęciem opowiedziała nam sen, który miała tej nocy. Oto on. Ona, córki i Wicus znajdują się w swoim domu w Polsce. Na fotelu w rogu pokoju siedzi i czyta gazetę ojciec Mieci i Marysi, nie żyjący już od paru lat. Są Święta Bożego Narodzenia i matka przygotowuje wigilijną wieczerzę. Mieciami prasuje jakieś letnie sukienki. Jest późno. Wskazówki zegara posuwają się z niezwykłą prędkością. Matka zwraca się do Mieci by porzuciła prasowanie zbędnych w zimie rzeczy i pomogła jej przy sporządzaniu wieczerzy. Mieciana na tę propozycję odpowiedziała matce pokazaniem języka. Oburzona matka chciała jej przyłożyć ścierką, gdy zza gazety wysunęła się ręka /nieżyjącego/ ojca przywołując Mecię gestem do siebie. Sen miał miejsce wtedy, gdy Mieciana umierała. Byliśmy wstrząśnięci tą opowieścią i nie wiedziałam jak przekazać matce wiadomość o śmierci Mieci. Kiedy wreszcie powiedziałam jej co się stało w nocy, zrozpaczona matka wpiła się palcami w moją szyję i myślałam że mnie udusi. Na szczęście oderwano ją ode mnie. Przeskoczyłam trochę czas opowiadania ze stycznia na kwiecień ale te dwa sny były bardzo znamienne i wiązały się ze sobą.

Tymczasem kończy się zima i nieśmiało zaczyna się przedwiośnie. Głodujemy okropnie. Chodzimy na pola i z pod śniegu wybieramy kłosa, które jakimś cudem ocalały po tylu zbieraniach. Często są przerośnięte. Opowiem o zbieraniu kłosów, które po żniwach żywiły nas. Otóż po przejściu kombajnu, po zebraniu i związaniu mechanicznie zboża, obowiązkiem dzieci szkolnych i sowchoźników było zebranie na polu kłosów niezebranych przez kombajn i dostarczenie

ich do magazynu zbożowego. Za zbieranie tych kłosów płacono w zależności od wagi zebranych. Potem wolno było zbierać pozostałe po tej zbiórce kłosy na własne wyżywienie. To było, oprócz przydziałowego chleba jedno źródło do przeżycia. Oczywiście przydział chleba przysługiwał tylko pracującym i ich dzieciom. Było i drugie źródło. W magazynach i na polach pod wiatami leżało zboże w pryzmach. Wymagało ono stałego szufłowania celem wietrzenia. Przeważnie robili to sowchoźnicy i sowchoźnice, ale ponieważ młodzi mężczyźni byli w wojsku, wiele kobiet miało drobne dzieci, a wiele było w podeszłym wieku, więc dzięki Bogu mieliśmy, ja i inni Polacy i Grecy zatrudnienie. Aby zdobyć ziarno na mąkę chodziło się na szufłowanie w butach tak luźno zasznurowanych, aby dostawało się do nich ziarno. W tym celu przy szufłowaniu wchodziło się w ziarno, aby jak najwięcej wysypało się go do butów. Praca przy szufłowaniu z ziarnem pod stopami, a następnie parę kilometrów drogi do domu po pracy, to była droga naprawdę bardzo uciążliwa. Często stopy były otarte do krwi. A przecież trzeba było jeszcze po powrocie ziarno rozetrzeć między dwoma kamieniami albo utłuc w drewnianej stępie /to taki jakby olbrzymi młódcie, tyle że z drzewa/ aby otrzymać kaszę i trochę wysianej z niej mąki. Wracając z pracy - a droga prowadziła skrajem lasu - zbierałam do zabranego z sobą worka kawałki kory i drobny chrust, nie nadający się do wiązania. Poszyłam małe woreczki, w których przemycałam między korą i chrustem ziarno. Jakiś czas byłam zatrudniona jako stróż ziarna i wtedy zbierałam ze sobą kufajkę aby się okryć w czasie chłodu. Kufajka miała rękawy ściągnięte w nadgarstkach. Uszyłam więc wąski, długi woreczek i przenosiłam w nim ziarno lokując go w rękawie. Czasem, wracając spotykałam brygadzystę i zdawałam mu sprawozdanie z dnia pracy, mając jednocześnie kontrabandę przy sobie. Ile spokoju, bezczelności, uśmiechu i miłej rozmowy

- "co dobrego, jak leci; ~~jak~~ zdrowie rodziny?" - trzeba było by się nie zdradzić. A groziło wciąż więzienie, łagier i oczywiście rozłąka z dziećmi. Najlepszy Ojciec, Miłosierny Bóg czuwał nieustannie. To przynoszone ziarno było przecież warunkiem ocalenia nas od śmierci głodowej. Zatrudniono mnie znowu jako wozaka. Znowu trzeba było podlewać ogrody. Po wykonaniu pracy wóz należało odstawić do magazynu - ogromnej jakby stodoły - a byki odprowadzić na pastwisko. Któregoś dnia, odstawiając wóz zostałam urzeczona pryzmą przepięknej, złocistej pszenicy, usypanej w pryzmę pośrodku magazynu. Głód odezwał się ze stokrotną siłą. Postanowiłam, że muszę zdobyć choć trochę ziarna dla głodujących dzieci. Choć pracowałam, przydział chleba nie był wystarczający. Odsunęłam zasuwkę w bocznych, niewielkich drzwiczkach, obiecując sobie, że złożę wizytę w magazynie nocą z workiem. Zamknęłam duże wrota magazynu na kłódkę i zaniiosłam klucz do kancelarii. Tam usłyszałam przypadkiem, że właśnie w dniu dzisiejszym będzie posiedzenie kierownictwa, które pewnie przeciągnie się do późnych godzin wieczornych. Okazja niebywała. Zakradłam się późnym popołudniem, prawie pod wieczór przez przygotowaną furtkę do magazynu i nabrałam spory worek ziarna. Worek był raczej szeroki niż długi, i niestety przy przesiskaniu się przez wąski otwór w furtce zaczepiłam workiem o wystający gwóźdź i zrobiła się w worku dziurka nieduża ale wystarczająca, by sypiące się przez nią ziarno zaprowadziło prosto do mojej chaty. Na domiar nieszczęścia, gdy zatykając palcem dziurkę wydostałam się na zewnątrz, ujrzałam na końcu magazynu wyłaniającego się z za bocznej ściany nocnego stróża. Dzielili nas od siebie odległość około osiem metrów. Według wszelkich reguł powinien iść w moim kierunku, ponieważ miał obowiązek okrążać magazyn. Struchlałam. Przywarłam do ściany magazynu <sup>całym</sup> ~~całym~~ czekając na najgorsze. Z myślą o dzieciach wypłynęła na usta z serca płynąca

gorąca modlitwa. Opatrzność, jak zawsze w czasie tych strasznych lat czuwała i w tej zdawałoby się beznadziejnej sytuacji. Strona magazynu, do której przywarłam znajdowała się od strony lasu i była bardzo ciemna. W zasadzie należało jej tym bardziej pilnować, ale stróż rzuciwszy okiem w tę stronę zawrócił w kierunku z którego przyszedł. W ciemności nie mógł mnie zauważyć. Dlaczego zawrócił? Może pomyślał, że w czasie posiedzenia nikt go nie będzie kontrolował a nie miał ochoty zagłębiać się w ciemność. Ja z palcem w dziurze worka rzuciłam się w las i okrążywszy lasem posiółek dostałam się mokrusieńka z wysiłku z nadmiaru wrażeń do domu. Muszę nadmienić, że obecnie sama do lasu nie wybrałabym się nawet w dzień. To co pisać jest bardzo bezładne. Wiele lat minęło, wiele wspomnień nasuwa się z opóźnieniem. Trzeba mi to wybaczyć. To co piszę nie jest historycznym dokumentem. To są wspomnienia obrazujące nasze trudne życie i walkę o przetrwanie do powrotu do Ojczyzny. Muszę opowiedzieć jak dobra matka przyroda żywiła nas latem i jesienią. Sowchoz, w którym żyliśmy posiadał bardzo żyzną ziemię, nie wymagała żadnych nawozów. Lasy obfitowały w grzyby, chociaż nigdy nie spotkałam borowika, rydza, koźlaka czy maślaka. Były tam grzyby jakby w jednym gatunku. Rosły w lasach i na łąkach w wysokiej trawie. Miały olbrzymie, mięsiste kapelusze, rowkowane pod spodem. Nie umiem ich nazwać. Może podobne były do kani. W każdym razie były bardzo pożywne, zwłaszcza gdy "babuszka Rozumowa" włożyła do nich trochę tłuszczu lub baraniny. Osobliwością była ogromna, niespotykana masa poziomek na łąkach i dzikich truskawek w lesie. Innych owoców przez cały czas pobytu nie widziałam. Zapomniałam, że w ogrodzie babuszki rosły jakieś jagody, podobne do naszych czarnych jagód czy włochini i były bardzo słodkie i smaczne. Babuszka polubiła bardzo moje dzieci

i częstowała je tymi jagodami. Nazywała je "paślonem". Gdy mówię o obfitości poziomek, to było ich takie mnóstwo, że można było położyć się na brzuchu, na łące i jeść prosto z niej, obracając się jak wskazówki zegara. Łąka wydawała się w słońcu czerwona. Osobliwością było, że gdy był duży urodzaj na poziomki, to urodzaj na ziemniaki był znacznie mniejszy i odwrotnie. Duży urodzaj na ziemniaki zapowiadał mniejszy urodzaj poziomkowy. Na terenie naszego przebywania rosło bardzo dużo piołunu. Widać i on lubi urodzajne ziemie. W związku z tym koniecznością było plewienie łąnów zboża w odpowiednim czasie ich wegetacji. I tak, ponieważ plewili dorośli i dzieci w pewnym okresie stanęliśmy całą rodziną jako mała brygada do plewienia. Najmłodszy członek brygady Tytus miał lat siedem, Marek osiem i pół a najstarsza Marysia dziewięć i pół. Norma, którą trzeba było w dzień roboczy wyplewić wynosiła: pas szerokości 2 metry długi na 1.500 m. Trzeba było wrywać ręcznie piołun i inne chwasty uważając, by nie uszkodzić młodego zboża. Ponieważ wszyscy byliśmy pracownikami, więc mieliśmy prawo do roboczego przydziału chleba. Większość pracy spoczywała oczywiście na mnie, dzieci były przecież mimo wszystko za małe i łatwo się męczyły. Wręcz tragedią było, gdy po powrocie z męczącej pracy i długiej drogi do domu okazywało się, że chleba "nie dowieźli". Nie było przy tym zwyczaju aby w dniu następnym "gdy dowieźli" dać podwójny przydział, lub zwrócono chleb należny za przepracowany dzień w dniu następnym, jeśli ktoś nie stawił się do pracy na bieżąco. Dręczy mnie do dzisiaj wspomnienie bolesne, nie dające się usunąć z pamięci. Oto nie dowieźli chleba. Umęczone dzieci po posiłku z zupy ugotowanej na gorzkim końskim szczawiu /kobylicy/, zarzuconej ledwie widocznymi krupami, położyły się spać. Rano budzę je do pracy na stanowisko do plewienia. Marysia protestuje. Tłumaczę jej, że nie dadzą nam zaległego chleba jeśli nie

wyjdziemy di pracy. A ona z buzią zalaną łzami i żalem w oczach pyta oskarżająco "co to za matka, co każe dziecku pracować? /powiedziała "rabotać"/". Ten żal w oczach i jej głos prześladuje mnie do dziś. Rosła w sowchozie dziko jeszcze jedna roślina, która przez krótki czas ratowała nas przed głodem. Nie widziałam tej rośliny w Polsce ale to może dlatego, że rosła dziko, a ja ze wsią miałam mało styczności. Tam nazywano ją "ryżyk". Były to drobnuteńkie nasionka, podobne do czarnego maku ale jeszcze drobniejsze, oleiste, umieszczone na wysokiej łodydze w przejrzystych, suchych woreczkach. Po wymłóceniu i odwianiu tych suchych osłonek, można było te ziarenka utłuc i lepić placuszki, które następnie przypiekało się na blasze. Nie było to smaczne, często bez soli bo była na wagę złota i nie było jej gdzie kupić ale jakoś oszukiwało głód. W czasie, gdy rósł i dojrzewał ryżyk mieliśmy już własnego psa. Marysia bardzo kochała i do dzisiaj kocha zwierzęta. Obok nas ziemiankę budowali Grecy. Był tam w rodzinie chłopiec, który miał małego szczeniaka. Kiedy budował mu budę, skaleczył się mocno w rękę i zdenerwowana matka zabrała mu i wyrzuciła szczeniaka zapowiadając, że nie pozwoli mu go trzymać. Marysia ulitowała się nad psiaczkiem i tak do naszej biedy przybyła jeszcze mordka do wyżywienia. Psami tam się nikt specjalnie nie przejmuje. Radzą sobie same. Wyjątkowo bogatszy gospodarz trzyma psaw obejściu i żywi go jak należy. Na ogół psy żywią się ludzkimi odchodami, spełniając jednocześnie służbę sanitarną. Idzie takie stworzenie za człowiekiem w miejsce odosobnione na wolnym stepie i po kłopotach. Pisałam, że nie widzieliśmy owoców innych oprócz poziomek i dzikich truskawek a zapomniałam o wspaniałych arbuzach i kawonach. No, ale to już byłyowoce cudze, uprawiane na własnych lub sowchozowych plantacjach tak zwanych bakczach, położonych na ogół parę kilometrów od sowchozu, pozostających pod opieką jednego lub dwóch stróżów. Trzeba

tam było dowozić wodę do podlewania. Sowchoźnicy sami musieli o nie dbać i podlewać po pracy, pokonując dużą odległość i wioząc na wózku beczkę z wodą. Ale gdy arbuzy dojrzały i przyszedł czas zbioru, to było wielkie święto. Arbuzy dojrzewające w temperaturze 40 i więcej stopni były soczyste i słodkie jak miód. Gdy się jadło ukrojony kawałek arbuza to sok ściekał po brodzie niemal na brzuch. Ale my bakczy nie mieliśmy. Korzystaliśmy z tego dobra na zasadzie poczęstunku lub zapłaty za wykonaną pracę. Czasem udało mi się otrzymać jakieś zamówienie na szycie, oczywiście ręcznie. Było to bardzo pracochłonne. Pisałam o piesku, bo z nim związana jest historia, obrazująca stosunki graniczące z głupotą. Ryżyk, o którym pisałam, że pozwolił nam oszukać głód był rośliną dziko rosnącą i w zasadzie nikt nie zabraniał go zrywać. Korzystali więc z tego przede wszystkim głodni zesłańcy. Stąd zbierało się sporo odwiednych plew i Marysia urządziła z nich miękkie legowisko dla swej pupilki w dole przeznaczonym na piwnicę. Szczeciaczka, który okazał się suczką nazwaliśmy szarotką. Pisałam już, że ryżyk był rośliną oleistą, może dzięki temu wywoływał uczucie sytości. Niedługo cieszyliśmy się tym darmowym posiłkiem. Ktoś podpowiedział władzy, że z ryżyku można tłoczyć olej i od tej pory władza zabroniła go zrywać uważając słusznie, że oni chętnie skorzystają z oleju dla siebie. I oto pewnego ranka, gdy przed pójściem do pracy przypiekałam placuszki na blasze dla dzieci na śniadanie, wkroczyła "władza" i kazała gotowe lepioszki, przygotowane ciasto i zbierane ze wszystkich chałup zesłańców plewy, na których spała Szarotka odstawić do magazynu. Marysia ropłakała się, że kazali zabrać posłanie jej ukochanego pieska. Złośliwość i chciwość pozbawiła dzieci śniadania.



## 7. Komitet Pomocy dla Polaków.

W Zeleziencie został utworzony Komitet Pomocy dla Polaków. Pracownicy Komitetu - Polacy byli obowiązani do rejestracji wszystkich przesiedlonych Polaków, zamieszkałych w rejonie i do przekazywania im darów przysyłanych przez amerykańską UNRR-ę. Dary składały się z odzieży, koców i żywności. Prawo do jednakowego przydziału mieli wszyscy Polacy, zarówno dorośli jak i dzieci. Rzeczy zbyt duże dla dzieci stanowiły również pomoc jako artykuł do wymiany na żywność taką cenną. Niestety - to co piszę jest bardzo przykre - część Polek zatrudnionych w Komitecie okazała się bardzo nieuczciwa. Rzecz prawie nie do uwierzenia aby rodacy mogli okradać braci-rodaków, żyjących w takich strasznych warunkach. A jednak. Pomimo prawa zesłańców do jednakowego przydziału zaczęto różnicowanie. I tak na przykład my zamiast czterech koców, otrzymaliśmy tylko dwa i pół, w tym jeden cały i trzy połówki. Sprzeniewierzono dla własnego zysku półtora koca. Butów, zamiast cztery pary otrzymaliśmy tylko jedną. Tłumaczono, że męskich butów przecież dzieci nosić nie będą. A przecież te buty mogły służyć zamiast ich nóżkom, po zamianie na żywność ich głodnym brzuszkom. A przysyłano konserwy /nigdy ich nie otrzymaliśmy/, mąkę sojową w pudełkach po pół kilograma, mannę, ryż i inne kasze oraz masło kakaowe. Tego masła dano nam jeden jedyny raz jedną porcję jak na deser. Żyjąc w pasiołkach, odległych od Zeleziarki nie wiedzieliśmy, co zostało przysłane i przysyłane w formie zagranicznej pomocy. Wierzyliśmy przecież w uczciwość naszych braci pokrzywdzonych tak jak my tą zsyłką. Ja o prawdziwych przydziałach i o stosunkach panujących w Komitecie dowiedziałam się od Polaków zamieszkałych w Zeleziencie i bliskich pasiołkach, gdy przybyłam do rejonu po paszport prawie po pół roku, od czasu mego pobytu w szpitalu.

W tym czasie chyba przepisy uległy złagodzeniu, bo nie żądano wpisu o obywatelstwie sowieckim. Dowiedziałam się tam też wtedy o nieuczciwej historii, w której jedna ze stron została sama oszukana. Tam gdzie przebywaliśmy na wygnaniu było wszystkiego brak i wszystko było cenne. Nawet pudełka po mące sojowej można było wykorzystać do sprzedaży. Jedna z Polek, pracująca w Komitecie weszła w spółkę z Rosjanką i zsypały mąkę sojową do worków a pudełka sprzedały. Mąkę ukryły w sobie tylko znanym miejscu. Przeznaczono ją do późniejszej sprzedaży z zyskiem, do własnej kieszeni. Nie pamiętam nazwiska tej Polki, wiem tylko, że pochodziła z Białegostoku. Została wystawiona do wiatru przez swoją rosyjską współpracowniczkę, która sprzedała ukrytą mąkę i kupiła sobie krowę. Musiało być tej mąki sporo. A oto obrazek, również z Komitetu. Polka z naszego sowchozu poszła do Komitetu po żywność dla umierającego z głodu dziecka. Oświadczono jej ze współczuciem, że wszystko już zostało wydane, że już nic nie ma. Zrozpaczona kobieta wiedziona chyba instynktem szarpnęła zasłonę, znajdującą się za biurkiem kierowniczkini jako przepierzenie i oczom jej ukazał się magazyn z żywnością. Zagroziła, że podpali budynek jeśli natychmiast nie otrzyma pomocy dla swego dziecka. Zaraz znalazła się mąka, manna a nawet mleko w proszku. Historia stała się głośna i sprowadziła do Komitetu kontrolę na polecenie wyższych władz. Pani z Komitetu wyjątkowo bezczelna, jeździła do pasiołków i sowchozów z wykazami, prosząc o składanie podpisów dokumentujących pobranie darów, których nawet nie widzieli na oczy. Chciała brać na litość oszukiwanych przez siebie rodaków aby nie została skazana na więzienie. Zapytałam jej, czy nie obawia się, że za jej nieuczciwość i bezpzelność naplują jej w twarz. Nie wiem dokładnie jak zakończyła się ta sprawa, słyszałam tylko, że jednak nie uniknęła więzienia.

Gdy wybrałam się po paszport do rejonu, wzięłam ze sobą moją córkę Marysię. Droga była daleka, szłyśmy piechotą i różniej nam było we dwójkę. Czasem, gdy jechała jakaś podwoda zgodnie z kierunkiem naszej wędrówki, udawało się skorzystać z uprzejmości właściciela i trochę na wozie wypocząć. Czasem, gdy po drodze spotykałyśmy plantacje arbuźów, korzystałyśmy z gościny życzliwych sowchoźników, litujących się nad zmęczoną dziewczynką. Jak smakowały arbuzy po wysiłku. Wysiłek był duży i przekonałam się, że można iść nie prędko ale nie należy zatrzymywać się. Po zatrzymaniu się stopy zamiast odpoczywać, puchły. Ulgę mógł przynieść tylko dłuższy wypoczynek. Dobrze się szło, za poprzedzającym nas wozem utrzymując umiarkowane tempo. Wóz oczywiście odjeżdżał, dążąc w swoją stronę ale przyjęte tempo pozwoliło w jakiś nie wytłumaczony sposób odczuwać mniejsze zmęczenie. I tak do następnego spotkania z innym wozem dążącym w kierunku rejonu lub do pobliskich w rejonie pasiołków. W Zeleziencie udało się nam kupić cztery gliniane miseczki do posiłków. W powrotnej drodze wszędzie nas nagabywano aby chociaż dwie odsprzedać, bo przecież możemy po dwoje jeść z jednej miski. Twardo odmawiałyśmy. Były ładnie malowane i glazurowane. Każda miała inny wzór. Już widziałyśmy w wyobraźni jak się chłopcy ucieszą. W drodze obdarowano nas paroma arbuźami i ja niosłam w worku arbuzy i jedną miseczkę, a Marysia w woreczku na ramieniu niosła pozostałe trzy. Niestety, gdy już dochodziłyśmy niemal do sowchozu, małej zemdlą rączką, wysunął się z niej woreczek i wszystkie trzy miseczki potłukły się. Okazało się, że należało podzielić się z proszącymi.

Muszę jeszcze opisać jedną przygodę z początku 1944 roku. Otóż nasi sąsiedzi Grecy nie zbudowali przed zimą sionki z chrustu przy swojej ziemi. Może nie zdążyli, a może nie wierzyli w konieczność, mimo iż starałam się ich przekonać. Pewnego ranka budzimy się i po wyjściu z domu zamiast ziemi Greków zobaczyliśmy gładką powierzchnię śniegu i tylko wąska smuga dymu przebijająca się przez śnieg wskazywała miejsce zasypanej ziemi. Natychmiast zabrałam się do odkopywania drogi. Dzieci posłałam po pomoc do innych Greków. Trzeba się było spieszyć. Rodzina liczyła pięć osób i mogło im zabraknąć powietrza. Wykopaliśmy tunel w śniegu, aż do samego wejścia, aby ich oswobodzić. Na dobitkę niewiadomo czemu drzwi zawieszane były tak, że otwierały się na zewnątrz. Bez naszej pomocy nie wydostaliby się z chaty. Nasza sionka, choć pracy kosztowała dosyć dużo, uchroniła nas jednak przed taką przygodą. Należy polegać na doświadczeniu ludzi od wielu lat tu mieszkających. Nauczono nas też, że nie należy odgarniać śniegu, gdy zacznie z wiosną tajać. Śnieg musi od spodu topnieć sam, powoli wsiąkając w ziemię. Natomiast, gdy się śnieg odgarnie, nagły dopływ powietrza powoduje topnienie z boku i w głąb bardzo intensywnie i zalewa ziemi. Dostosowaliśmy się do tego pouczenia i nasza chata po zimie 1943/44 pozostała sucha.

### 8. Znowu Pawłodar.

Mieliśmy z ogromnym trudem zdobyty własny dom. Na wiosnę znowu skopiemy małe ogródki, więc coś się w nim urodzi. Ale narazie, jeszcze w zimie spadło na nas ciężkie doświadczenie. U mnie skorbut. U Marysi i Tytusa na skutek braku witamin pojawiły się na głowach gęste, ropiejące strupy. Zwłaszcza u Tytusa była to ropiejąca czapa. Na razie nie wiedziałam co to za choroba i czy nie jest zaraźliwa. Zakażenie mogło nastąpić bardzo łatwo, ponieważ

strupy były swędzące i dzieci, a zwłaszcza Tytus drapał głowę niemilosiernie. Słysząc było to drapanie. Wręcz tragiczne było to, że w tych strupach roiło się od wszy. Wszy nie miała Marysia, chociaż dzieci przebywały cały czas razem. Chcąc ulżyć Tytusowi brałam jego głowę między kolana i podczas gdy on siedział na podłodze, ja końcem nożyczek do paznokci, wyciągałam lawirujące między strupami wszy. Zdawało się, że któreś z nas nie wytrzyma i zemdleje. Tytus z powodu bólu, jaki mu sprawiała konieczna operacja czy ja od smrodu wydobywającego się z ropiejących strupów. Najodporniejszy okazał się Marek. Nie miał strupów, nie wychodziły mu zęby - nie chorował więc na szkorbut - dręczyły go jednak wszy, co było nieuniknione, ponieważ sypiał z Tytusem. To, że Marek nie zaraził się od Tytusa upewniło mnie że choroba ma swoje źródło w silnej awitaminozie. Witamin nawet w formie lekarstwa zdobyć oczywiście nie było można, ale babuszka poradziła mi, aby zalewać głowy dzieciom ciepłym, roztopionym łojem baranim i powoli, ostrożnie usuwać rozmiękłe strupy a potem smarować oczyszczoną skórę naftą. Rzeczywiście kuracja choć była długotrwała, przyniosła jednak znaczną poprawę. Jak pisałam mieliśmy własny spokojny dom, wolny od kłótni i swarów, małe ogródki i las żywił nas latem i może jeszcze wczesną jesienią ale pamiętając bardzo głodne, przeżyte tu zimy postanowiłam dowiedzieć się czy nie jest możliwy powrót do Pawłodaru. Na pewno znalazłabym jakąś pracę, otrzymałabym przydział chleba dla siebie i dzieci, a może i żywność byłoby łatwiej kupić. Dowiedziałam się w rejonie, że z ramienia Związku Patriotów Polskich organizowane są w miasteczkach różne zakłady usługowe, zatrudniające wyłącznie lub ~~prawie~~ wyłącznie Polaków, a stanowiska kierownicze powierzone mają Rosjanom. Było po amnestii, o której dowiedziałam się dopiero teraz i wolno mi zmienić miejsce zamieszkania. Żyjąc w głuszy, daleko od miasta, w wiecznej trosce i głodzie nie wiedzia-

łam o takiej możliwości tym bardziej, że nikt nie wyjechał z naszego sowchozu, z wyjątkiem młodych chłopców, którzy wstąpili do Armii gen. Andersa. Zdecydowałam się szybko. Sprzedałam ziemiankę Grekom i zabrawszy tylko posłania i odzież i wraz z dziećmiakami, statkiem rzeczonym, kursującym po Irtyżu wróciliśmy do Pawłodaru. Była tam już placówka, w skład której wchodziły: zakład krawiecki, szewski, fryzjerski i stołówka. Dzieci poszły do utworzonej już polskiej szkoły podstawowej, a ja dostałam zatrudnienie w zakładzie fryzjerskim. Pracowałam tam niejako na czterech etatach, a w każdym razie w poczwórnym charakterze, a więc kasjerki, sprzątaczkki, praczki i odczasu do czasu fryzjerki, jeśli usługa dotyczyła ostrzyżenia dziecka maszynką do gołej skóry. Głównym fryzjerem był Polak o nazwisku Ratajczak, drugim młoda Rosjanka, która umiała golić i strzyć o tyle o ile, ucząc się jeszcze od pana Ratajczaka. Fryzjer, mistrz przebywał w Pawłodarze z żoną i córką, dorastającą panną. Żadna z tych pań nie pracowała, choć powodziło im się chyba dobrze, bo obie były zadbane i elegancko ubrane. Obie były wysokie i zgrabne, a córka była oczkiem w głowie ojca. Fryzjernia była otwarta od godziny 8 do 17-tej z przerwą na obiad. Stołówka mieściła się w tym samym budynku za ścianą. Do godziny 14 wyrabialiśmy normę strzygąc i goląc Kazachów, Rosjan, czasem Czeńców i Inguszy. Pieniądze uzyskane za usługi wykonane w granicach normy wpłacałam po godz. 17-tej do kasy placówki, natomiast pieniądze uzyskane za usługi, wykonane w czasie od godz. 14 do 17 szły do podziału między mistrzem fryzjerem, jego pomocnicą Rosjanką i mną. Pan Ratajczak jako szef był bardzo nieprzyjemny, traktujący swoich pomocników z góry, niemal pogardliwie, uważający siebie i swoją rodzinę za coś o wiele lepszego. Gdyby moja praca nie była dla zakładu niezbędną, a zwłaszcza gdyby nie obawiał się, że mogę donieść o jego prywatnych usługach,

chętnie by się ze mną nie dzielił, a los moich dzieci wcale go nie obchodził. Nie przychodziło mu do głowy, że nie byłabym zdolna do donosu. Moja praca poza kasą o podwójnym wyliczeniu, wymagała wyszorowania surowej podłogi przy pomocy brzoźowych gałązek lub wyskrobania jej nożem. Oprócz tego, należało do mnie pranie bielizny fryzjerskiej, rojącej się od wszy. Po każdym strzyżeniu mistrz oddawał mi prześcieradło, delikatnie zdjęte z klienta, abym wyszła do sionki i wybiła wszy, które je pokrywały i w ten sposób przygotowała je dla następnego klienta. Mistrz miał nieznane mi źródła zdobywania wody kolońskiej, przeznaczonej dla klienteli obsługiwanej w czasie poza normą. Ceny za te usługi były oczywiście znacznie wyższe i szły do podziału. Dyskrecji młodej, rosyjskiej pomocnicy był zupełnie pewny gdyż dodatkowe zarobki były jej bardzo na rękę. Moja praca oprócz tego, że była bardzo ciężka, była wstrętna z powodu wszy. Była ich niewyobrażalna ilość. W czasie pracy nosiłam na nogach buty filcowe, tak zwane "pimy", ponieważ innego obuwia nie miałam. Wszy, które spadały przy strzyżeniu wraz z włosami na podłogę, rozkładały się błyskawicznie, gdy ja przyjmowałam kasę po pimach dostawały się do wewnątrz. Do godz. 14-tej, 15-tej cierpiałam niesamowite męki, ale nie mogłam przecież zdjąć w czasie pracy butów i zostać na bosaka. Gdy kończyliśmy pracę o 17-tej, a jeśli trafił się dobry klient to i później, fryzjerzy opuszczali pomieszczenie a ja ściągałam pimy i dłońmi zgarniałam z łydek gryzące wszy i topiłam po zmieceniu w wiadrze z wodą. Od chwili powrotu do Pawłodaru nie mieliśmy już mieszkania. Do fryzjerni wchodziło się przez korytarz, który był zakończony pomieszczeniem bez okna, zamkniętym zagrodą z desek sięgającą sufitu. Tu był zgromadzony cały nasz dobytek, złożone łóżka i materace i nędzna odzież. Tu też skupiało się życie całej rodziny w czasie pracy fryzjerni. Dzieci po przyjściu ze szkoły tutaj musiały czekać, aż wyjdzie

ostatni klient. Wtedy zyskiwaliśmy do użytku pomieszczenie całej fryzjerni. Tutaj też, na zsuniętych ławach i na długim stole układaliśmy materace z dziecinnych łóżeczek na nocny spoczynek. Samych łóżek nie można było rozstawać, ponieważ nie starczyłoby czasu na sprzątnięcie ich rano przed rozpoczęciem pracy. Raniutko o godz. 4-tej wstawałam aby stanąć w kolejce po chleb. Gdy zbliżała się godz. 7-ma - często jeszcze chleba nie przywieziono -,biegłam budzić dzieci, zebrać naszą pościel do sionki i przygotować fryzjernię do rozpoczęcia pracy. Chleb z gorącą wodą stanowił śniadanie przed pójściem do szkoły dzieci i przed dniem pracy dla mnie. Oprócz wszy mieliśmy we fryzjerni jeszcze jednych bardzo przykrych a nawet niebezpiecznych lokatorów, a mianowicie, wielkie jak koty szczury. Pawłodar leży na piaskach i budynki, zwłaszcza drewniane - a takich była większość - były posadowane bez fundamentów kopanych w głąb - na palach, na których była ułożona podłoga a pod nią zasypywano ziemię do wysokości pali, co stanowiło umocnienie dla budynku i podłoże dla podłogi. W tym podłożu gnieździły się szczury, które w paru miejscach przegryzły podłogę i dostawały się do fryzjerni. Zupełnie nie bały się ludzi i zdarzało się często, że fryzjer wykonywał swoją pracę w towarzystwie przyczajanych w kątach lub pod sprzętem szczurów. Ich ilościowa obecność zwiększała się pod wieczór, gdy nie było klientów. Aby można było położyć się spokojnie na spoczynek, trzeba było pozbyć się uciążliwych gości. Moi chłopcy podjęli się tego zadania. To, co teraz opowiadam wygląda jak scena z koszmarnego snu. Otóż chłopcy nazbierali kilkanaście dużych kamieni do przykrycia dziur którymi dostawały się szczury do fryzjerni. Gdy się już zgromadziły, chłopcy zakrywali dziury i przy pełgającym płomyku knota, umieszczonego w buteleczce z naftą, nadzy, wylapywali szczury i topili je w wiadrze z wodą, aby rano



wynieść na wysypisko śmieci lub spalić rano w piecu. Kiedyś, w czasie takiego polowania oszalały szczur wdrapał się na piec i stamtąd spadł na posłanie na stole, na którym razem z moją córeczką sypiałyśmy.

### 9. Koniec wojny - nadzieja.

W dalekim świecie skończyła się wojna a my nadal na wygnaniu. Czytałam w paru wydanych obecnie wspomnieniach, że po amnestii - która jakby nas nie dotyczyła - Polacy mogli na własną rękę, różnymi drogami i sposobami wracać do kraju. Ja w Pawłodarze nie słyszałam o żadnym takim przypadku czy możliwości, poza wyjazdem kilku żon wojskowych, którzy wstąpili do Polskiej Armii gen. Wł. Andersa. Ostatnio czytałam również, że ci którzy zaryzykowali udanie się z północnych rejonów na południe, by dostać się do Persji, wylądowali w Kazachstanie, a wielu zwłaszcza dzieci zmarło w czasie wędrówki z mrozu i głodu. My, jak już mówiłam zdaliśmy się na Bożą Opatrzność. I tak więc dla nas zakończenie wojny nie stanowiło końca udręki. Zachorowałam ciężko na malarię, mam co trzy dni straszny atak. Okropna wyniszczająca choroba, przy czym nie mogłam pójść do lekarza aby uzyskać zwolnienie chorobowe, ponieważ przyjęta w tym czasie na zastępstwo osoba mogłaby ujawnić nasze wpływy z usług na własny rachunek. Zastępował mnie więc w dni choroby mój syn Marek. Ataki powtarzały się prawie regularnie. Około godz. 10-tej zaczynały się sinienie m dłoni i nadgarstków, potem następowała zimnica i drgawki, nie pozwalające utrzymać ciała w bezruchu, ani na siedząco ani na leżąco. Marek obsługiwał, zamiast mnie klientów a ja leżałam nieustannie podrzucana przez drgawki w naszej komórce na zwalonej pościeli. Ten pierwszy etap choroby - a składa się z trzech etapów - jest tak męczący, że gdyby znalazł się ktoś, kto mógłby złagodzić go, całowałabym mu stopy. Następuje drugi etap choroby, czyli po zimnicy bardzo wysoka gorączka,

kiedy wydaje się choremu, że jakiś ogromny ciężar przytłacza mu głowę, wysadzając niemal z orbit oczy. Po gorączce występują poty bardzo silne i takie osłabienie, że nie można utrzymać się na nogach. Kiedyś podczas takiego ataku, gdy leżałam w komórce, poczułam nagle na ramieniu cielsko ogromnego szczura. Szcherzył zęby i nie mogłam z przerażenia powstrzymać się od krzyku. Przybiegł Marek i odpędził zwierzę, ale od tej pory musiał w czasie ataku często zaglądać do komórki i czuwać nad moim bezpieczeństwem. Nie mieliśmy chininy i nie mieliśmy się czym leczyć. Po paru strasznych atakach zwróciłam się do polikliniki, w której pracowałam podczas pierwszego mojego pobytu w Pawłodarze i wtedy pracująca tam jeszcze Polka, która mnie знаła z tych czasów, gdy ja pracowałam, zrobiła mi parę zastrzyków z chininy i malaria minęła. Nigdy już potem ani w Pawłodarze ani po powrocie do Polski choroba się nie powtórzyła.

Pracowałam i mieszkałam we fryzjerni z dziećmi aż do wyjazdu do Polski, z końcem stycznia 1946 roku. Głodowaliśmy, mimo posiłków w stołówce, gdzie gotowano przeważnie niby kapuśniak, to znaczy gorącą wodę z pływającymi w niej drobnymi listkami kapusty. Drugie danie stanowiły kotlety z rybek mielonych razem z ośmi. Chleba nigdy nam nie starczało, nie mówiąc już o mleku, o którym można było tylko marzyć. Do tego bardzo ostra zima. We fryzjerni był wysoki, bielony piec z płytą, na której grzało się wodę potrzebną przy wykonywaniu usług, praniu i szorowaniu podłogi. Na noc stawialiśmy ławy i stół przy piecu ale mimo to brak prawdziwej pościeli, którą zastępowały trzy stare koce powodował, że było nam w nocy bardzo chłodno. Właściwie grzały nas wzajemnie przytulone własne ciała. Któregoś wieczoru przyszedł do nas na pogwarki nocny stróż, Rosja-

nin i gdy zobaczył naszą sytuację, przyniósł nam do okrycia służbowy kożuch mówiąc, że ma na stanie jeszcze drugi, więc ten możemy używać aby dzieci nie ziębły. Teraz chłopcy spalili przytuleni pod dwoma mniej zniszczonymi kocami, a my z Marysią narzucaliśmy kożuch na najlichszy koc. Wkrótce okazało się, że w kożuchu jest mnóstwo wszy, które swoją obecnością zmuszały nas do drapania się, co podnosiło temperaturę ciała /okazuje się, że nawet insekty w pewnych warunkach mogą być pożyteczne/. Za pensję, którą otrzymywałam regularnie za pracę na etacie i za "lewe" dołożone do tego zarobki z podziaku, udało mi się kupić trochę odzieży dla dzieci. Marysi w naszej szwalni uszyto płaszczyk na barankach z mojej bekieszki. Dla siebie kupiłam bardzo stary kożuch, z którego odciąłam u dołu kawałek futra na kołnierza do tego Marysinego płaszcza. Chłopcom kupiłam używane walonki i watowane również używane bluzy. I tak w dzień dzieci przebywały w polskiej szkole, potem po posiłku w stołówce i po skończeniu pracy we fryzjerni mieliśmy do dyspozycji cały lokal. Tak upłynął czas od jesieni 1944r przez rok 1945, do końca stycznia 1946 roku, kiedy to na podstawie międzynarodowych umów zaczęła się repatryjacja, ja wciąż pracuję. Nie mogę dostać nikogo do pracy na moje miejsce. Rosjanki, które mogły być kasjerkami, nie chciały pracować ani sprzątać. Natomiast te, które chciały podjąć się prania i sprzątania, nie mogły jako analfabetki pracować jako kasjerki.

#### 10. Do Polski - Rypin Lubuski.

Skład pociągu stał już na stacji, polskie rodziny ulokowały się jak najwygodniej, na zbudowanych do tego celu piętrowych pryczach, i gdy moja rosyjska kierowniczką pomogła mi przetransportować się na dworzec okazało się, że nie ma dla nas miejsca. A tak niedawno jeszcze sami Polacy mówili, że gdy tylko pozwolą nam wrócić, to pójdą do Polski

nawet na kolanach. No cóż! ulokowaliśmy się bądź co bądź na bardzo długą drogę. Moja Rosjanka przemocą weszła do wagonu i energicznie ustawiła towarzystwo tak, że znalazło się jednak miejsce, choć nie na pryczach. Odbywaliśmy naszą powrotną drogę do Ojczyzny na materacach rozłożonych na kufrze i jakichś tobołkach. Na rozłożenie posiadanych przez nas łóżeczek nie było miejsca. Bez energicznego działania mojej rosyjskiej kierowniczkii, pewnie nie udało by się nam odjechać tym transportem. Na ponad trzy tygodnie trwającej jazdy wydano nam na drogę suchy prowiant, a przecieź ta podróż mogła się jeszcze przedłużyć. Na środku wagonu był piecyk, na którym można było ugotować posiłek, ale wagon był przecieź pełen ludzi, trzebaby było mieć kocioł. Prócz tego potrzebny był opał, o to trzeba było starać się samym repatriantom. Na szczęście, gdy wracaliśmy nie zamykano na kłódki i nie plombowano wagonów. W czasie jednego postoju paru chłopców, w tym i mój syn Marek, wyszli by zdobyć opał. W tym czasie, zanim zdążyli wrócić pociąg ruszył. Rozpacz ogarnęła mnie i inne rodziny, że zostaną w Rosji. Podniosłyśmy wielki krzyk, tak że wieść dotarła do kierownika transportu i ponownie zatrzymano pociąg. Z najbliższego odcinka drezyną przywieziono naszych maruderów. Tak jechaliśmy dzień i noc, omijając w czasie postojów większe stacje, pewnie dlatego, aby nie pokazać światu tej wynędzniałej gromady. Wreszcie dotarliśmy do polskiej granicy w Terespolu. Tu na starych, chyba z przed wojny wagonach Tytus zobaczył orzełka z koroną. Wykrzyknął "mamusiu! patrz jaki piękny nasz orzełek". Dalej już przez polskie ziemie jechaliśmy do Warszawy. Tam Warszawiaczy, zapatrzeni we własną tragedię - jakby tragedia tylko ich dotknęła - przyjęli nas niezbyt życzliwie, tak jakby przywieziono bolszewików a nie umęczonych powracających braci. Po krótkim postoju, w czasie którego nie było nawet czasu na gorący posiłek, wydano nam chleb i suchy

prowiant i pojechaliśmy do Poznania. Jakże odmienne było tam powitanie. Gdy pociąg stanął na dworcu, tłum wyrostków sprzedających krojony w kromki chleb, wysypał się na peron. Ale służba kolejowa wyjaśniła chłopców co to za transport i skąd przyjechał i chleb został rozdany za darmo. Nie mogliśmy go kupić. Nie mieliśmy pieniędzy. Następnie otoczono nas opieką Czerwonego Krzyża, nakarmiono na dworcu gorącym posiłkiem i zaopiekowano się dziećmi w izbie dziecka. Dzieciaki wykapano i wydano im czystą, odpowiednią do pory roku odzież. Wagony ustawiono na bocznym torze do czasu, aż zapadnie decyzja dokąd dalej pojedziemy. Narazie moi chłopcy i paru innych wyruszyło na zwiedzanie Poznania. Nie wiem jak sobie poradzili, ale przed wieczorem powrócili na stację i odnaleźli swoje wagony bezbłędnie. Już byliśmy pełni niepokoju, ale przecież tu w swojej Ojczyźnie mogli liczyć na pomoc choćby przechodniów, gdyby zabłądzili. Z Poznania, umytych, nakarmionych i w miarę możliwości odzianych skierowano nas do Rypina Lubuskiego. Tu przebywaliśmy nadal w wagonach, dopóki każdy na własną rękę nie znajdzie sobie mieszkania. A miasto było bardzo zdewastowane. Przeszły przez nie rosyjskie wojska, niszcząc i paląc meble a nawet podłogi używając na opał. Po paru dniach znalazłam dla siebie i dzieci mieszkanie. Mianowicie jedna Polka, która po powrocie z niemieckiego obozu znalazła i zajęła dla siebie pokój z kuchnią, zgodziła się przyjąć naszą rodzinę na sublokatorów. Sądziłam, że zamieszkamy w kuchni ale okazało się, że ponieważ nie było dostatecznej ilości opału, zamieszkaliśmy razem z nią w dużym pokoju.

#### 11. Do Wadowic - dom rodzinny.

Od początku wojny nie miałam żadnych wiadomości od mojej Matki i brata mieszkających w Wadowicach. Teraz napisałam do matki podając adres Państwowego Urzędu Repatriacyjnego /PUR/ w Rypinie. Odpowiedź nie nadchodziła.

nie znał. Ostatni raz przed wojną, gdy odwiedziliśmy Mamę, Tytus był niemowlęciem. Już wcześniej, gdy przechodziliśmy koło cukierni za pieniądze, które otrzymał od jakiejś współczującej Polki, kupił dla babci ciasteczko. Anielcia powiedziała nam, że moja matka upadła na śliskiej nawierzchni i parę dni musiała nawet spędzić w łóżku. Dlatego nakarmiła nas, chcąc mamę wyręczyć, ponieważ nie wie jak się obecnie czuje. Zaprowadziła nas do mamy i okazało się że mama była już zdrowsza a nawet przygotowała dla nas gorącą kąpiel i niepokoiła się, bo spodziewała się nas już trzy dni temu. Po paru dniach nacieszenia się babcią, chłopcy zostali umieszczeni w Domu Dziecka w Bystrej koło Makowa Podhalańskiego a Marysia w Internacie SS. Nazaretanek w Wadowicach do czasu, aż zaczę pracować i będę mogła sama utrzymać rodzinę. Matka moja była rencistką z bardzo niewystarczającą emeryturą po mężu, a po trzykrotnym wysiedleniu niewiele posiadała. Nie było też u niej warunków mieszkaniowych dla całej rodziny.

Wadowice były miastem powiatowym i placówka PUR-u bardzo się nami zaopiekowała. Byliśmy pierwszymi repatriantami. W starostwie, gdzie mieścił się PUR pracowało wiele moich koleżanek z czasów gimnazjalnych, zaczęli nas odwiedzać liczni znajomi, ciekawi naszych dziejów wygnańczych ale dalsze losy rodziny po podjęciu przeze mnie pracy to już opowieść na inny tom wspomnień, również ciekawy ze względu na czasy stalinowskie, ponieważ byliśmy rodziną przedwojennego oficera a więc czarnymi owcami i wiele trudności miałam w pracy i wiele łez wylałam po powrocie do wytęsknionej Ojczyzny. Dodam tylko, że o losie mojego męża, poza listem ze Starobielska, otrzymanym w styczniu 1940 roku, nigdy się nie dowiedziałam. Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Genewie na mój list odpowiedział, że kpt. Jan Tomczyński figuruje w ich spisach jako zaginiony w Starobielsku.

nie znał. Ostatni raz przed wojną, gdy odwiedziliśmy Mamę, Tytus był niemowlęciem. Już wcześniej, gdy przechodziliśmy koło cukierni za pieniądze, które otrzymał od jakiejś współczującej Polki, kupił dla babci ciasteczko. Anielcia powiedziała nam, że moja matka upadła na śliskiej nawierzchni i parę dni musiała nawet spędzić w łóżku. Dlatego nakarmiła nas, chcąc mamę wyręczyć, ponieważ nie wie jak się obecnie czuje. Zaprowadziła nas do mamy i okazało się że mama była już zdrowsza a nawet przygotowała dla nas gorącą kąpiel i niepokoiła się, bo spodziewała się nas już trzy dni temu. Po paru dniach nacieszenia się babcia, chłopcy zostali umieszczeni w Domu Dziecka w Bystrej koło Makowa Podhalańskiego a Marysia w Internacie SS. Nazaretanek w Wadowicach do czasu, aż zaczę pracować i będę mogła sama utrzymać rodzinę. Matka moja była rencistką z bardzo niewystarczającą emeryturą po mężu, a po trzykrotnym wysiedleniu niewiele posiadała. Nie było też u niej warunków mieszkaniowych dla całej rodziny.

Wadowice były miastem powiatowym i placówka PUR-u bardzo się nami zaopiekowała. Byliśmy pierwszymi repatriantami. W starostwie, gdzie mieścił się PUR pracowało wiele moich koleżanek z czasów gimnazjalnych, zaczęli nas odwiedzać liczni znajomi, ciekawi naszych dziejów wygnańczych ale dalsze losy rodziny po podjęciu przeze mnie pracy to już opowieść na inny tom wspomnień, również ciekawy ze względu na czasy stalinowskie, ponieważ byliśmy rodziną przedwojennego oficera a więc czarnymi owcami i wiele trudności miałam w pracy i wiele łez wylałam po powrocie do wytęsknionej Ojczyzny. Dodam tylko, że o losie mojego męża, poza listem ze Starobielska, otrzymanym w styczniu 1940 roku, nigdy się nie dowiedziałam. Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Genewie na mój list odpowiedział, że kpt. Jan Tomczyński figuruje w ich spisach jako zaginiony w Starobielsku.